Nr. 4 (1204). Warszawa, 10 (23) Stycznia 1904 r. **Rok XXIV.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują. Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Prusy, Niemcy i Świat.

Rząd pruski sprawił grzecznemu dziecku, jakiem jest przestarzała, śmiech [illegible] tylko wzbudzająca instytucya Izby panów, nową sukienkę. Wybudował dla arystokracyi rodowej i urzędniczej, z której składa się ta Izba, nowy gmach posiedzeń. Właśnie w dniu zagajania sejmu tegorocznego, 16 b. m., po raz pierwszy zebrali się w nowym, wspaniałym przybytku — lordowie pruscy. Chwilę uroczystą wypadało uroczyście też powitać. Prócz innych obowiązku tego dopełnił p. Bulow. Przemówił krótko a nastrojowo; nacisnął [illegible] pychy pruskiej. Struna wydała od[illegible] dźwięk i odrazu zdobyła serca. Minister przemówienie swe zakończył okrzy[illegible] takim, żeby cała kula ziemska słyszeć go mogła. I cała kula ziemska go słyszała— i [illegible] się i przypomina sobie czy kiedy[illegible] przedtem obryzgała go tak głośna, pewna siebie, zuchwała pycha. Nie, nigdy, [illegible] podobnego z urzędowego miejsca, z ust urzędowych nie słyszano w takiej dobitności i artystycznym słów układzie. „W Prusiech król na przedzie, w Niemczech przodują Prusy, Niemcy kroczą na czele świata“. Tylko to.

Taki głos wychodzi z „państwa bojaźni bożej“ w sto lat niespełna po Jenie, ale i w pięć lat dopiero po śmierci Bismarcka, który właściwie przez p. Bülowa przemawiał, wtedy gdy p. Bülow ustami po[illegible]zał. Dwa te momenta, Jena i Bismarck, symbolizują dwa krańce, między którymi roztaczał się los dziejowy Prus. Po Jenie Prusy mogły być niczem, państewkiem o niecałych 2,000 mil. kw., po Bismarcku są wielkiem mocarstwem, które „kroczy na czele świata.“ Po Jenie, naprawionej w Tylży, zmazanej w Wiedniu, były jeszcze całe dziesięciolecia zależności, które nie pozwalały nawet najśmielszym marzyć o dzisiejszem stanowisku. Wprawdzie Rosya opóźnieniem swej pomocy sprowadziła Jenę, umiała wszakże po Jenie gorliwie *travailler pour le roi de Prusse*, umiała krwawo pracować pod Pruską Iławą i Friedlandem, i nie zawahała się, sama zwyciężona, rzucić uroku swej niezmożonej jeszcze potęgi na szalę politycznych żądań a niepolitycznych mrzonek Napoleona, aby tylko wydobyć Prusy z otchłani, w którą daremnie królowa Luiza podczas siedemnastodniowego pobytu w Tylży wrzucała swe róże i swe wdzięki. Cesarz Aleksander w r. 1807 ocalił Prusy, w r. 1813 pozwolił im powstać, w r. 1816, związawszy się z niemi, zapewnił im odzyskanie dawnej potęgi.

Ale na tem jeszcze się usługi Rosyi nie skończyły. Gdy Napoleona już przykuto do skały, gdy w Europie zapanowały porządki traktatowe wiedeńskie i niemylne a zbawcze dla ludzkości idee św. Przymierza, kto, po powaleniu wroga zewnętrznego, dopomógł Prusom do skutecznego zawsze rozprawiania się z wewnętrznym, nietylko we własnem obejściu, ale i na terytoryum całych Niemiec, jeśli nie Rosya? Bez pomocy rosyjskiej cała rola męża opatrznościowego, jaką sobie przypisywał Metternich, byłaby dobrą do farsy, a nie do tragedyi, w jaką rzeczywiście ukształtowały się dzieje powszechne, w szczególności zaś niemieckie w owej epoce. A gdy powiała owa wiosna ludów, komu Fryd. Wilhelm IV miał do zawdzięczenia to, że go wonie jej nie udusiły, jej powiewy nie zmiotły? Tylko Rosyi. I, zaiste, nie było chyba większej dwulicowości nad tę, z jaką ówczesny król pruski zadawalał życzenia berlińczyków pod nietajonem wcale hasłem „Na Rosyę!“, a jednocześnie asekurował się u Cesarza Mikołaja, donosząc mu codziennie o swem niebezpieczeństwie,— które tylko przetrwać potrzeba. Ołomuniec we dwa lata później był znikomym jedynie obłokiem. Rosya musiała go dać Austryi, a zapłaciła zresztą za to wrzekome upokorzenie we dwadzieścia lat później — bezprzykładną przyjaźnią podczas wojny z Francyą. Jedno jej drgnienie wówczas, jedno skoncentrowanie wojska na granicy — byłoby ocaliło Francyę może jeszcze przed Sedanem. Francya legła, bo Rosya była neutralną. Niemcy dzisiejsze są wspólnem dziełem Bismarcka i Rosyi.

Do wytłomaczenia tej zagadki, jaką była polityka ks. Gorczakowa w r. 1870, dojść można tylko pod przewodnictwem Sybla. Wiemy od niego, że w lipcu 1864 r. Cesarz Aleksander II proponował królowi pruskiemu, późniejszemu Wilhelmowi I, wojnę zaczepną z Francyą. Bismarck odwiódł swego króla od kuszącego współdziałania i w sześć lat później, nie tracąc sprzymierzeńczej pomocy, zrobił wojnę na własną rękę, dla własnej korzyści. Ale psychologiczne pobudki propozycyi przetrwały jej odrzucenie: nienawiść do Francyi, zagniewanie na nią skłoniły do neutralności. I oto dziś „w Prusiech król na przedzie, w Niemczech przodują Prusy, a Niemcy kroczą na czele świata“!

Przed Rosyą jeszcze była inna potęga, której Prusy zawdzięczają już nie wielkość swoją, ale samo nawet istnienie. Gdyby nie traktat krakowski z d. 8 kwietnia 1525 r., wprowadzający do polityki miękkość wuja dla siostrzeńca, gdyby nie to nierozumne, wszelkiemu instynktowi zachowawczemu

urągające przelanie praw na Brandenburgów w r. 1611 — nie byłoby Prus i Rosya nie miałaby nawet komu nieskończonych przysług swoich świadczyć. Błąd wielki, spotęgowany jeszcze większym — wywołał przy wewnętrznych czynnikach niemocy położenie, w którem Rosya zsolidaryzowała się z Prusami, a w trzydziestoletniej wspólności interesów,—z nic nieznaczącą przerwą paroletnią, łatwo już rozpaliła się ta jedyna w dziejach od 140 lat trwająca przyjaźń, której Prusy więcej może, niż Bismarckowi, niż słynnemu bakałarzowi wiejskiemu, winne są dzisiejszą swą wielkość.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W chwili, gdy na tem miejscu przypuszczano odpowiedź japońską dopiero na bieżący tydzień, znajdowała się ona już w rękach bar. Rosena. Nic o niej niewiadomo.

We Francyi nowa burza. Na początku stycznia chciał w Lunewilu wygłosić odczyt o moralnym upadku Francyi dzięki Combesowi—Alzatczyk, ks. Delsor. Combes kazał go razem z odczytem wypędzić. Liga Praw Człowieka zaprotestowała; nacyonaliści w d. 22 b. m. wnoszą interpelacyę. Reinach żąda wolności słowa, a żądanie to poparłyby stronnictwa radykalne, gdyby Delsor nie był księdzem i nie miał potępić obecnej polityki względem duchowieństwa. — Mętne wyjaśnienia Combesa w sprawie gwałtów jesiennych policyi na Giełdzie pracy w Paryżu poruszały już Izbę d. 15 b. m. Combes obronił prefekta pokoju Lepine'a od socyalistów i wygrał - porządek dzienny, rzeczywiście nieporządkiem będący. Lepine nie dostanie dymisyi, ale ją dostać może wkrótce Combes. Nowa grupa pod Jauresem, niedoszłym wiceprezesem Izby, może się o nią uprzejmie postarać. Socyaliści wyrzucili z pośród siebie Milleranda. — Failleres wybrany na prezesa senatu 219 głosami z 246.

Powstanie w Macedonii, w dwu okolicach, przytykających do Bulgaryi, już się nanowo budzi. Serbowie zaczynają się ruszać z myślą o Starej Serbii, a Turcya gromadzi na pograniczu wojsko. Oficerowie bulgarscy robią nacisk na księcia, aby z wiosną poparł powstanie; do natarczywości ośmiela ich utworzenie nowych trzech dywizyj i zamianowanie nowych 57 generałów, pułkowników i podpułkowników. Naczewicz skarży się w Stambule, aby mydlić oczy. Zmiana służby dworskiej w Sofii nie jest jeszcze wyjaśnioną; może być, że owe żądania oficerów, jakoby w memoryał ujęte, miały już na poparcie swe gotowe porozumienie ze służbą. —W Stambule sułtan drży znowu o siebie, bo mu w bezimiennych listach grożą zabiciem.

W Serbii Gruicz ma jako prezes rządu ustąpić wkrótce Proticzowi. Królobójcy jeszcze nie powyrzucani ze stanowisk, z wyjątkiem już tu wymienionych. Z etycznie oburzoną Europą stosunki złe. P. Gołuchowski znowu piorunował, znowu królowi Piotrowi wyrzucał niemoc woli. Oburzają się wszyscy: cnota sternic rządami.

Niemcy mają kłopot z Herrerami (Damara i Namakwa w Afryce zachodnio-południowej). Wysłali już dwie kompanie, działa i kanonierki. Afrykańczycy poosaczali drobne garnizony i niejeden z nich przed nadejściem posiłków mogą wyciąć. — D. 18 hr. Posadowsky ucierał się w sejmie ces. z agraryuszami. Sejm pruski zagaił d. 16 b. m. p. Bulow mową, odczytaną w Izbie panów, zakończył słowami: Prusy przodują Niemcom, Niemcy kroczą na czele świata: Istny *Grossenwahn*. Nowe projekty antipolskie dojrzewają. Za to komisya budżetowa sejmu ces. odrzuciła dodatki dla urzędników poczty i telegrafu w Poznańskiem i Prusiech Zachodnich, a wielu komisarzy ganiło politykę anti-polską. — Wyborcy w Śremie i Środzie ustanowili kandydatury na miejsce zmarłego Głębockiego. Z Prus: Korfanty, Mielżyński, Krysiewicz; z cesarstwa: ks Sztychel, Niegolewski, Chłapowski. Korfanty miał dobrą mowę do wyborców w Śremie. Koło w Sejmie pruskim już się ukonstytuowało; prezesem sędziwy Szuman.

Nuncyuszem w Monachium po Macchim zostaje msgr Caput. Ma on być przychylnym dla Niemiec jako mocarstwa.

W Wiedniu na dalszych posiedzeniach delegacyi austryackiej d. 11 b. m. Kramarz chwalił porozumienie z Rosyą, a trójprzymierzu przypisał już tylko „archeologiczną" wartość. Hr. Gołuchowski bronił trójprzymierza. Podobno Koło polskie pośredniczy w zgodzie niemiecko-czeskiej. Traktaty handlowe z Włochami i Meksykiem zawarte będą bez sejmu, na mocy § 14. W komisyi budżetowej delegacyj min. Pittreich przyrzekł wprowadzenie języków krajowych do pułków krajowych w Przedlitawii, nadto inne jeszcze ustępstwa dla narodowości. Miał długą prelekcyę o dotychczasowych już porządkach w tym duchu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

RACHUNKI SPOŁECZNE.

Brak tematu z prowincyi — Dlaczego? — Znów samopomoc. — Delegacya współdzielcza. — Nasz spryt handlowy. — Upadek towarzystw spożywczych w Zagłębiu Dąbrowskiem. — Tow. dobroczynności. — Nożownictwo na prowincyi. — Jak się od niego bronimy. — Czy jesteśmy dość kulturalni, aby mówić mo- [illegible]

Z pośród okrzyków owacyjnych, zapełniających szpalty prasy prowincyonalnej z ostatniej doby — podczas objazdu kraju przez prelegentów „na powodzian" z H. Sienkiewiczem na czele, trudno cośkolwiek wyłowić takiego, coby tematem dla dzisiejszych rachunków być mogło.

Chyba więc znów coś powiem o ruchu samopomocy, który, rozwałkowywany na każdem miejscu, prawdopodobnie dobrze się już znudził czytelnikom Rachunków. Trudno, jest on dzisiaj w tem stadyum, że potrzebuje ciągłej reklamy, ciągłego zwracania nań uwagi, jako na objaw, niosący w sobie, oczywiście nie odrodzenie narodu, ale w każdym razie wzmocnienie sił jego, energii, oraz wyrobienie tego uczucia zbiorowości, którego nam tak bardzo brak.

Dziś z tej zbiorowości zaznaczę tylko dwa fakty: jeden dodatni, świadczący, że ta idea w życie nasze się wszczepia i coraz większe postępy czyni, a drugi, będący wymowną ilustracyą, jak stoimy pod względem kultury społecznej i etyki, jak jeszcze wytrwale nasz rozum handlowy trzyma się tego, aby po za szwindel i szachrajstwo nie sięgać, i jak słabi, leniwi jesteśmy, gdy trzeba energicznego czynu.

Pierwszy fakt — to powstanie Delegacyi współdzielczej. Chciałbym zwrócić uwagę na znaczenie nowej tej instytucyi dla życia współdzielczego na prowincyi.

Przedewszystkiem, za względu na ilość towarzystw, które się do niej zapisały, jest to organ poważny, który może mieć głos decydujący w życiu naszych zrzeszeń, może niemi kierować, być im łącznikiem, jednem słowem może usunąć najważniejszą wadę naszego ruchu stowarzysze-

S. Wierusz-Kowalski.

Z LEGEND INDYJSKICH.

PROROCY.

Niezgłębiona, ciemna, ponura puszcza. Wiatr, co gdzieś dmie po polach i łąkach z ostrym poświstem trzcin i traw kołysanych — tu, wpada w mroczną głąb poplątanych szczytów drzew, szumi w szerokich, rozłożystych koronach dębów i buków i zapada między oślizgłe, pleśnią i mchem pokryte pnie drzew. Rozkołysane zlekka szczyty chwieją się ruchomem sklepieniem, co ciemnem skrzydłem nocy okrywa wnętrze puszczy. Może tam, wysoko, pali się jasne słońce i rzuca swe gorące, blaskiem oślepiające promienie na zwichrzone, ciemne sklepienie i załamując się, cofa, rozpływa po szczytach. Tu noc.

Gdzieś, między najdzikszymi ostępami puszczy, między zdradliwemi, leśnemi sadzawkami, po błotach czarnych i trzęsawiskach zielonych, wśród gałęzi dzikiego chmielu i leśnej leszczyny — snują się dziwne widma puszczy, widma przeszłości.

Jakiś ptak skrwawiony, ze złamanem skrzydłem chwieje się na nizkiej gałęzi, skarżąc się na niemoc swojemi szklistemi, łzą zaszłemi ślepiami. Skarzy się, że wyżej wzlecieć nie może.

A w puszczy ciemność grobowa panuje i woń wilgoci grobowej.

Jakaś wielka, potężna siła idzie od tych drzew zaklętych w ogromną, niemą puszczę... Idzie moc wielka, niezwyciężona, rzucając strach i urok wokoło, a razem i ciemność grobową i grobową woń stęchlizny.

Kołysząc się na nizkiej gałęzi, skarży się ptak skrwawiony ze skrzydłem złamanem, skarży się ślepiami szklistemi na swą niemoc i ból...

A w puszczy stoi wielka ciżba ludzi. Stoją bezradni w głuchem zwątpieniu, i ręce załamując, wyciągają ku górze, i płacząc, zawodzą i modlą się o światłość, i żebrzą o słońce...

Oto przyszli tutaj przez jakieś dziwne a nieznane drogi, przez urocze i wielkie, pełne kwiecia ślicznego wąwozy, przez gaje cieniste, przez łąki i wody, przez lasy i góry... Aż zaszli w głuchą puszczę...

Więc oto stoją teraz, nie wiedząc co czynić, i ręce załamane wyciągają ku górze i płacząc, zawodzą, i modlą się o słońce, o światłość...

I wyszedł przed nich mąż piękny o szlachetnej postawie. Mówił długo i pięknie, by wytrwale czekali, aż dzień się w puszczy przebudzi i słońce rozjaśni im drogi do powrotu. A gdy skończył, wystąpił dziad siwy i drżący i prosił cichym, niedołężnym szeptem, by zamiast czekać—działali i szli naprzód, aż wyjdą na światło słoneczne. Lecz nim skończył, ciżba ludzi wołać i krzyczeć poczęła, że szaleństwem byłoby iść naprzód, skoro czekać dni parę jeszcze można.

— Może się odmieni! — mówiono w tłumie.

Więc wybrano na wodza męża pięknego o szlachetnej postawie i czekano dni wiele. Aż gdy zapasy żywności, które czerpano z wozów, jęły maleć w sposób gwałtowny i liczba wozów pustych zwiększała się z dniem każdym, poczęto znowu płakać i skarżyć się... Ale mąż piękny nie ukazał się oczom tłumu, jeno znowu wyszedł dziad siwy i powtarzał słowa swoje i rady, dawniej wypowiedziane. Lecz głos jego zniedołężniał bardziej jeszcze, tak iż

niowego — chodzenie po omacku. Jak będzie nowa delegacya spełniać to swoje zadanie, przyszłość dopiero pokaże, w każdym razie, nie ulega wątpliwości, że jej zawiązanie stanowi zwrot w dziejach naszego ruchu współdzielczego i otwiera nową jego epokę.

Podczas, gdy pisma warszawskie pełne były sprawozdań z posiedzeń nowej delegacyi, nr. 1 organu Zagłębia Dąbrowskiego przyniósł nam protest, podpisany przez członków stowarzyszenia spożywczego „Nadzieja“ przeciw członkom obsługującego jej składy i sklepy Warszawskiego Związku Roboczego. Ci panowie, objąwszy przed rokiem swoje stanowiska, po dokładnem poznaniu warunków miejscowych i słabych stron swego pryncypała — postanowili otworzyć sklepy konkurencyjne i jeszcze na stanowisku funkcyonaryuszów „Nadziei,“ starali się gorliwie zrazić kupującą publiczność, kaptując dla siebie kundmanów. Dalej chyba pójdzie już dobrze. A Związek, solidaryzując się z postępkiem swych członków, widocznie kwituje z zamierzonej dawniej roli — pioniera ruchu współdzielczego, aby poprzestać na daleko skromniejszej — zadziwiającego szachraja..?

Dodam tylko, że postępek członków Związku w połączeniu z niedawnym krachem drugiego w Zagłębiu wielkiego stowarzyszenia współdzielczego — „Ochrona“ — będzie dotkliwym ciosem dla idei zrzeszenia się w tej okolicy. Oba stowarzyszenia składały się przeważnie z robotników miejscowych; wskutek ich bankructwa tracą oszczędności, na czarną godzinę odłożone setki biedaków, wciągniętych do tych stowarzyszeń przez zwierzchników, którzy im jak najlepiej życzyli, a przez nieudolność roztrwonili te krwawo zapracowane ich grosze wdowie. Ta okoliczność rzuca szczególnie ponure światło na całą tę sprawę.

Po za tem na polu samopomocy zbiorowej musimy zanotować powstanie kilku spółek włościańskich, nowe stowarzyszenie spożywcze, przeważnie robotnicze w Skarżysku i na większą skalę pomyślane towarzystwo asekuracyi wzajemnej „Samopomoc,“ w Radomiu.

Z mniejszą przyjemnością przechodzę do rozpatrzenia drugiej dziedziny naszego życia zbiorowego i społecznego — do naszych Towarzystw dobroczynności. Niedawno zauważyłem, że wiele objawów z ich życia skłania mię do przypuszczenia, iż wkrótce będą one zmuszone ustąpić miejsca innym instucyom, opartym na racyonalniejszych podstawach samopomocy. Obecnie mamy do zanotowania kilka faktów, świadczących o pewnym fermencie w umysłach członków Towarzystw dobroczynności na prowincyi i o ich do pewnego stopnia krytycznym poglądzie na stan obecny tych instytucyj. *Gazeta Radomska* np. zamieszcza artykuł wstępny p. Szczepaniakowej, zatytułowany: „Reforma w dziedzinie filantropii.“ Autorka, skreśliwszy na początku genezę jałmużny, jako przeżytku średniowiecznego sposobu zadosyćuczynienia za grzechy, zaznacza zupełną nieodpowiedniość w dzisiejszych czasach tego rodzaju przychodzenia z pomocą bliźniemu i dlatego przychylnie wita nowy prąd, jaki z inicyatywy ks. Kirchnera powiał w zatęchłej atmosferze filantropii warszawskiej, prąd, którego hasłem: zamiast jałmużny — zarobek.

W innych pismach nie znajdujemy, niestety, podobnych głosów. Jak jest, tak jest — byle szło — oto zdanie ogółu w tej sprawie. Dlatego też nie łudźmy się, długo jeszcze będziemy musieli patrzeć na to potworne skrzywienie pojęć o obowiązkach solidarności społecznej i pomocy wzajemnej, na to, jak rok rocznie instytucye, w których ręku spoczywa istnienie setek i tysięcy bezdomnych, niezdolnych do pracy ludzi, chwieją się w swoich posadach, oparte na t. zw. „dochodach niestałych,“ tj. ściśle mówiąc, datkach, zupełnie przypadkowych, powstałych ze wstrętnej karoty, lub marnej odsetki sum często olbrzymich, wyrzuconych wśród pląsów na balach dobroczynnych.

I, rzecz szczególna, ta filantropia tańcząco-flirtująca, która gdzieindziej jest jedynie zabijaniem czasu przez rozpróżniaczone warstwy arystokracyi i burżuazyi — u nas tak głęboko wżarła się w życie i pojęcie, że na razie nic innego nie można jej przeciwstawić. Dlatego też, nie będę tej kwestyi dalej roztrząsał, a powiem słów kilka o nowej pladze prowincyi — nożownictwie, tym produkcie przedmieść warszawskich, który przyjął się na prowincyi i szeroką falą rozlewa się po kraju. Łódź, Zagłębie Dąbrowskie, Częstochowa, Zawiercie, rozbrzmiewają skargami na straszliwe rozwielmożnienie się tej klęski, a organy prowincyonalne, zawierają opisy takich faktów, jakich pozazdrościćby im mogły wszystkie *Kuryerki* i *Gońce* warszawskie.

Przyczynę tego zjawiska zupełnie słusznie kilka pism warszawskich znalazło w braku szkół i kultury wśród mas robotniczych, w straszliwej nędzy, powiększanej jeszcze przez wciąż trwający kryzys przemysłowy, który wyrzuca na bruk coraz to nowe zastępy tej nieszczęsnej „armii rozerwowej“ przemysłu. Żadne więc załosne jeremiady, żadne bardzo nawet często dowcipne projekty zemsty zbiorowej, czy prawodawczej nad poszczególnemi jednostkami z pośród masy nożowników nie pomogą; kwestyę trzeba wziąć szerzej i wszechstronniej. W sprawie nożownictwa, zaznaczyć jeszcze muszę w ostatnich czasach głos robotnika, Jacka z Kuźnicy, odzywającego się dość często w sprawach robotniczych na szpaltach *Kuryera Sosnowieckiego*. Stwierdzając wciąż zastraszająco wzrastającą ilość rozpraw nożowych wśród robotników, Jacek z Kuźnicy wzywa ich do oświaty — do pracy nad sobą, do kształcenia dzieci, wykazuje szkodliwość odbierania dziatwy ze szkoły zaraz po dojściu do lat 14, ażeby mieć z nich pomoc w fabryce itd. Zdaniem mojem, głos to najracyonalniejszy. Pracujcie nad kulturą i oświatą mas ludowych, a powoli nożownictwo zacznie się zmniejszać. Tymczasem zaś w tej dziedzinie robi się nadzwyczaj mało, prawie nic. Na szkoły wydają miasta śmiesznie niewiele; np. wr. zeszłym, jak podaje p. Józef Rzętkowski w *Gazecie Rzemieślniczej* (art. O naszych rzemiosłach i rzemieślnikach) zasiłki ze strony miast na cele szkół wynosiły: w Chełmie wraz z zakładami dobroczynnymi 243 rb., w Chęcinach — również wraz z zakładami dobroczynnymi - 120 rb. Kałuszyn wspomaga szkoły sumą 50 rb., Kutno — 225 rb., Kraśnik aż *18* rb. i to wraz z zakładami dobroczynnymi; niewiele więcej, bo tylko 22 rb. przeznacza na ten cel Łęczyca; największe zaś w tym kierunku wydatki wykazują budżety: Makowa (1,415), Ostrowia i Ostrołęki (654), Szczuczyny (395); wogóle zaś przeciętny wydatek na szkoły waha się pomiędzy 50 i 200 rublami. Wyjątek pod tym względem, jak już kiedyś zaznaczyliśmi, stanowi Tuszyn. To też i wydatki na szkoły i instytucye dobroczynne (wygląda to wprost na ironię!) każdy obywatel ponosi niewielkie: najwięcej, bo $17\frac{1}{2}$ kop. rocznie, w gub. Radomskiej, $16\frac{3}{4}$ kop. w Piotrkowskiej, gdzie są ześrodkowane nasze miasta fabryczne Łódź, Sosnowiec, Tomaszów i gdzie najwięcej na nożownictwo się skarżą, $15\frac{3}{4}$ w Kaliskiej, $9\frac{1}{2}$ w Warszawskiej (po za Warszawą) i $2\frac{1}{25}$ kop. w gub. Suwalskiej.

Niewiele! *).

*) Według artykułu p. Zen. Piet. w *Kuryerze Codziennym* p. t. „Szkoła-ulica.“

---

połowa zgromadzonych nie słyszała go, więc poczęto wołać o nowego wodza.

I wybrano mędrca wielkiego, który dni całe pracował nad obmyśleniem projektów wyprowadzenia ludu z puszczy. Co pewien czas zwoływał radę, złożoną z najpoważniejszych mężów w gromadzie, przedstawiał im swoje projekty i prosił ich o wskazówki i pomoc. Poważni mężowie kiwali głowami, oglądali plany dróg i drabin, po których wspinać się miano na szczyty drzew, słuchali kwiecistej wymowy wodza, a potem [illegible] plany i, żegnając mędrca, wychodzili.

— Cóż radzicie? — pytał wódz.

— Panie, tyś mądrzejszy od nas! — była odpowiedź najpoważniejszych mężów gromady. Poczem szli wszyscy do wozów z żywnością.

A wielki mówca i wódz pracował dalej nad planami i rysował projekty dróg, drabin, wind i maszyn.

Aż przeszło znowu dni wiele i lud wołał o nowego wodza.

Wtedy, idąc za głosem najpoważniejszych mężów, wybrano na naczelnika gromady człowieka wielkich zdolności. Człowiekiem tym był — opiekun żywności całego obozu.

Nowy wódz panowanie swoje rozpoczął od wydania edyktu o zmniejszeniu racyj dziennego pożywienia. Potem wydał jeszcze trzy edykty: w jednym dzielił cały lud na zbrojne, myśliwskie oddziały, polecając im zaopatrzenie obozu w zwierzynę. W dwóch następnych stawiał cały obóz na stopie wojennej, mianując siebie naczelnym dyktatorem.

Po wydaniu tych edyktów lud wpadł w szał radości.

— Nareszcie — wołano — mamy wodza, który nam zginąć tu nie da i który nas szczęśliwie i bez trudu naszego z pustynnych ciemności wywiedzie. Precz z puszczą! Hej! słońce ujrzymy niedługo! Hej! niech żyje wódz!

Stary, drżący dziad już nie żył, więc nikt nie mącił radości ogólnej, nikt czarnych myśli nie podsuwał. Ale nagle ktoś spytał nieśmiało: którędy i jak nas wyprowadzi, by trud nasz okazał się zbytecznym? Lecz nikt nie umiał na to odpowiedzieć, więc wyraz niepewności i zastanowienia rozlał się na kilkunastu twarzach. A głos jakiś zawołał donośnie:

— Nie nasza to rzecz: jak? Pytajmy się: kiedy?

Więc poczęto się tłoczyć do wodza, który stał przed swym namiotem wielki, potężny, jak król i patrzał z pogardą na ogromny, szary tłum, tłum krzykaczy, z których gardła wydobywało się krótkie, chrapliwe:

— Kiedy?

Na twarz wodza wystąpił uśmiech dobry. Wszedł w środek tłumu i zawołał donośnie:

— Cierpliwości, bracia! Niedługo!

Tłum oszalał. Nie cieszył się, że może niedługo słońce ujrzy i w cieple jego kąpać się będzie, lecz że miał wielkiego wodza..

— Niech żyje wódz!

I znowu dzień biegł za dniem. Nie były to już jednak dni spokoju. Ludzie głód cierpieli. Zmniejszona do jednej trzeciej racya pożywienia była zamałą i nie mogła zaspokoić potrzeb gromady. Na domiar złego oddziały myśliwskie nietylko nie przynosiły zwierzyny, lecz przychodziły uszczuplone nieraz do połowy. Więc w obozie poczęto się burzyć.

— Nie chcemy dyktatora! — podniosły się głosy — chcemy wodza, któryby szukał drogi, czy sposobu wyprowadzenia nas z puszczy, nie morzył głodem i młodzieńców naszych na śmierć pewną wysyłał.

A wódz, słysząc te okrzyki, przywołał

Inicyatywa prywatna też niezbyt spieszy z pomocą w tem groźnem położeniu. Najwięcej mamy do zanotowania pocieszających pod tym względem objawów w Łodzi, gdzie energiczna sekcya odczytowa miejscowego oddziału Towarzystwa hygienicznego krząta się wytrwale koło urządzania odczytów ludowych, a obecnie potrzeby miejscowego proletaryatu fabrycznego uznało i Towarzystwo teatralne, opiekujące się losem stałego teatru miejscowego. Na wniosek p. Małachowskiego zażądało ono od zarządu teatru przedstawień z wejściem po cenach zniżonych. Przedstawienia te mają być przeznaczone specyalnie dla sfer robotniczych. Oby tylko ten pomysł jak najprędzej wszedł w życie i przedstawienia popularne zdobyły sobie co najrychlej prawo obywatelstwa.

W Kaliszu znowu, jak czytamy w gazecie miejscowej, mają powodzenie odczyty ludowe, urządzone w pierwszych dniach roku bieżącego na zawsze pożądany temat „o alkoholizmie," urozmaicone obrazami niknącymi, o treści związanej z tematem odczytów. Próba tak się udała, że zachęciła wydział ludowy miejscowego Tow. hygienicznego, nawiasem mówiąc, grupy najruchliwszej z podobnych, do urządzania stałych odczytów z dziedziny hygieny, nauk przyrodniczych i medycyny popularnej. Na pierwszy ogień ma pójść kilka odczytów o budowie człowieka i o ratowaniu w wypadkach nagłych.

Oto i wszystko, co mogliśmy w czasach ostatnich wyszukać w prasie prowincyonalnej o tem, jak nasze „wyższe" sfery pracują nad podniesieniem mas ludowych. Jak widzimy, nie jest to znowu tak wiele! Ale za to wszędzie pełno skarg na grasowanie nożowców. W okolicach Bielska np., jak donoszą *Echa Płockie*, zdarza się czasem, że jadącemu co kwadrans atakują walizkę, a w pow. Sierpskim dochodzi do tego, że na targach złodzieje żądają wprost okupu od gospodarzy, którzy sprzedali produkty, przyczem odmawiający otrzymują „rozcięcie łba." A zresztą, trzeba zwrócić uwagę i na to również, że wielu „nożowców," „pobytowców" i innych na morały „oświeconego" ogółu mogłoby swojemi słowami odpowiedzieć: „Medice, cura te ipsum!" i wskazać wiele bardzo wymownych przykładów upadku kulturalności wśród tej warstwy. Jako przykład postępowania inteligenta z ludźmi, których los nielitościwy poddał choćby na chwilę pod jego władzę, przytoczyć muszę za *Gońcem Łódzkim* opowiadanie o pewnym lekarzu kolejowym, który widocznie dla nadania sobie powagi, z zasady nietylko nie uwzględnia potrzeb niższych pracowników kolejowych, lecz zawsze stara się ironicznie bagatelizować ich wymagania. Takie postępowanie doprowadziło wreszcie do katastrofy, bo jeden z nieznajdujących wiary pacyentów, wzamian za groźbę ze strony lekarza, wymierzył mu potężny policzek. O wiele już lojalniej postąpił sobie robotnik w Zagłębiu Dąbrowskiem, gdyż — jak donosi organ miejscowy — puszczony do doktora i zwolniony z roboty, pomimo próśb i nalegań dopiero w kilka dni po uszkodzeniu ręki, gdy pozornie nieznaczne obrażenie przybierało groźne rozmiary, podczas operacyi najspokojniej sobie zwaryował z bólu i zdenerwowania, spowodowanego kilkudniowemi męczarniami.

A przecież tak zwolnienie go z roboty, jak udzielenie pomocy lekarskiej zależało od zwierzchnika — człowieka inteligentnego.

W prasie prowincyonalnej mam do zanotowania przykry wypadek. Jeden z najlepszych, jeżeli nie najlepszy organ prowincyonalny, *Echa Płockie i Łomżyńskie*, z powodu braku dostatecznego poparcia ze strony łomżan, zwija swój oddział łomżyński. Jest to tem boleśniejsze, że obecnie, po za *Gazetą Lubelską*, na prawym brzegu Wisły nie będzie żadnego pisma prowincyonalnego, pomimo trzech, nie licząc Lublina, miast gubernialnych. To też *Gaz. Lubelskiej* trafia się dogodna sposobność urozmaicenia i wzbogacenia swej — mówiąc między nami — skandalicznie ubogiej treści. Czy skorzysta z tego — przyszłość wykaże.

J. Dąbrowski.

LISTY GALICYJSKIE.

Konferencye historyczne. — Pierwsza konferencya. — Przeciw utrakwizmowi. — Narodowi demokraci a lud.—Odpowiedź ludowców na kurendę biskupią. — Położenie materyalne lekarzy galicyjskich.

Jak zwykle na początku roku, prawdziwa powódź odczytów najrozmaitszego gatunku. Pomijając stałe wykłady „Uniwersytetu ludowego im. Mickiewicza" i konkurujących z nim instytucyj „Powszechnych wykładów uniwersyteckich," mamy różne, luźne odczyty nierównej wartości, wygłaszane przez paru profesorów uniwersytetu. Nowością — i to bardzo pożądaną są konferencye historyczne, mające się odbywać, poczynając od dnia 15 stycznia, w auli uniwersyteckiej. Zorganizowaniem tych konferencyj zajmuje się komitet prelegentów, z prof. Maryanem Sokołowskim na czele. Program konferencyj historycznych obejmuje 8 odczytów, omawiających teoretyczne i metodologiczne cechy badań historyi Polski oraz zasadnicze ich kierunki. Prof. St. Krzyżanowski i prof. dr. W. Czermak będą mówili o studyach historycznych wogóle, dr. St. Kętrzyński i dr. St. Zakrzewski scharakteryzują średniowiecze polskie w literaturze historycznej; L. Finkel da pogląd na naszą historyozofię i historyografię epoki Jagiellonów; dr. T. Grabowski określi zadania historyi literatury i dzisiejszy sposób jej badania; dr. F. Kopera omówi metodologię historyi sztuki; dr. Br. Dębiński skreśli charakterystykę historyografii francuskiej; dr. St. Kutrzeba poda poglądy na ustrój Polski w przeszłości; dr. St. Grabski i dr. A. Szelągowski będą się zastanawiali nad stosunkiem nauk społecznych do badań nad historyą. Po każdym z wymienionych odczytów nastąpi dyskusya, w której wezmą udział oprócz prelegentów, osoby, specyalnie zaproszone — z Krakowa, jak i z po za jego murów. Dotychczas udział w dyskusyi przyrzekli: prof. Potkański, prof. Windakiewicz, dr. Koneczny, dr. Bujak — z Krakowa, ze Lwowa dr. Z. Gargos, dr. Mojżesz Schorr, wybitny znawca dziejów Żydów w Polsce i p. Gubrynowicz. Z Warszawy zapowiedział udział tylko dr. W. Sobieski, wydawca korespondencyi Jana Zamojskiego i autor licznych szkiców historycznych. Zapowiedziane konferencye budzą wielkie zainteresowanie wśród szerszej publiczności. Przyczynią się one niechybnie do zbliżenia ogółu inteligencyi z przedstawicielami nauki naszej. To zetknięcie bezwątpienia dobrze się odbije w naszem życiu umysłowem. Dlatego też próbę wciągnięcia szerszych kół inteligencyi do wspólnej, chociażby tylko dorywczej pracy z patentowanymi reprezentantami nauki należy podnieść z wielkiem uznaniem.

Na pierwszą konferencyę zgromadziło się bardzo dużo publiczności, która z zajęciem przysłuchiwała się obydwom referatom prof. Krzyżanowskiego i Czermaka „o studyach historycznych." Prof. Krzyżanowski roztrząsał kwestyę, czy historya jest sztuką, czy nauką, i doszedł do wniosku, że „rozwój historyi jako nauki jest

---

do siebie najgłośniejszych i na radnych i pomocników swoich ich zaprosił.

I znowu nastąpiło parę dni spokoju, w czasie których nędza ludu stała się jeszcze większą.

Aż pewnej nocy zamordowano wodza i jego pomocników.

A potem nastały straszne chwile trwogi i niepewności. Powyciągano ukryte przez wodza zapasy i obliczono, na ile dni wystarczyć mogą. Poczem wszyscy opuścili głowy na piersi w grobowem milczeniu.

W tej chwili śpiewne, słodkie tony rozdarły powietrze. Zabrzmiało jedno słowo, a potem drugie, trzecie. Szemrała cicho między liśćmi łagodna pieśń krzepiąca, płynęła słodko między drzewa i tonęła w zachwyconych sercach słuchaczy...

— „Nuć o nuć, o pieśni moja. Krzep słuchaczy swych. Wylej czar boskości swojej przez piersi rycerza swego. Melodyą swoją zagój serca rozdarte i krew ciepłą ożyw w nich. Niech porwą miecze w dłonie i idą na bój, na wielki bój. Wpłyń w ich dusze, o pieśni moja, a wy słuchajcie, co mówi ona!

„Oto idą ogromni rycerze zwartym szeregiem, w żelazo zakuci, a w dłoniach miecze trzymają. A przed nimi łąka ogromna, cudnem kwieciem porosła, a między kwiatami jeden jest najpiękniejszy— kwiat lilii biały.

„Idą rycerze zmęczeni bardzo, lecz próżno chcą ledz na miękkiej łące, bo siła niewidzialna odpycha ich i nie pozwala kwiatów gnieść pięknych. Więc idą i gniewni przeklinają.

„A wtem głos rozlega się z wysoka:

„— Kto z was czystą, krwią brata niesplamioną, ręką kwiat ten zerwie, ten wybawi was wszystkich!

„Więc rycerze oglądają się, azali jest między nimi choć jeden krwią braterską niesplamiony, by mógł kwiat lilii białej zerwać i towarzyszów wybawić. Lecz posmutnieli wszyscy bardzo — bo nie było między nimi ani jednego niewinnego. Aż z boku wysunęło się młode chłopię, służące u wodza tych rycerzy za rękodajnego. Podszedł śmiało do lilii białej i wyciągnął rękę po kwiat prześliczny... I zdziwili się bardzo rycerze wszyscy, bo zgorszenie było już takie między nimi, że się dzieci między sobą zabijały. A chłopię młode kwiat białej lilii zerwało. I nastało wielkie szczęście odkupienia rycerzy."

Zamilkła pieśń. Porwano się ze swych miejsc i szukać poczęto jej twórcy. I znaleziono bladego, mizernego młodzieńca, ukrytego za zwalonym pniem olbrzymiego drzewa. Siedział na kupie mchu wilgotnego, z oczyma zastygłemi od patrzenia w bezmiar ogromny, jakby w tym bezmiarze duszę swą widział, jakby tą duszą biegł za ostatniem słowem pieśni, płynącej gdzieś w przestworzach...

Więc wołać poczęto na niego i krzykiem go budzić z zachwycenia. Aż on siłą zcucia oderwał się od duszy swojej, co rozmarzona unosiła się nad głową jego na białych skrzydłach i spytał ich:

— Czego chcecie?

A oni krzyczeć poczęli, iż na wodza go swego wybierają. Lecz on dłonie na piersiach skrzyżował i rzekł zdumiony:

— Azali myślicie, iżem ja niewinny?

A wtedy się zdziwił lud wszystek i w milczącym niepokoju zostawał.

A z tłumu wyszedł człowiek, którego nikt przedtem nie widział i nikt nie znał. Człowiek ów różnił się od wszystkich twarzą, nie znać było na niej cierpień przeżytych, ni przerażenia bezrozumnego, ni niepokoju bezradnego... Szedł wielki, potężny, głowę wznosząc wysoko ponad tłum cały, a w oczach wielkich, w oczach apostoła, paliły się ognie płomienne. I gdy tak szedł, tłum rozstępował się przed nim w milczeniu i pokorze. On zatrzymał się u wo-

dopiero w połowie drogi. Prof. Czermak przedstawił obecny stan katedr historyi na obu uniwersytetach galicyjskich, wykazując, jak mało ich jest w stosunku do innych, np. niemieckich uniwersytetów, i jakie stąd płyną szkody dla nauki historyi. Należy dążyć przeto do pomnożenia ich w najbliższej przyszłości o katedrę historyi Litwy i Rusi i o katedrę historyi starożytnej. Seminarya historyczne należałoby zreformować o tyle, żeby słuchacze pierwszego roku nie byli do nich dopuszczani. Natomiast dla historyków z pierwszego roku powinien być urządzony kurs przygotowawczy, który mógłby prowadzić profesor nauk pomocniczych historyi. W końcu życzyćby sobie należało większego zbliżenia profesorów do słuchaczów, które osiągnąćby się dało, gdyby kółko historyczne miało własny lokal po za uniwersytetem, gdzie słuchacze byliby gospodarzami a profesorowie gośćmi.

Prof. Krzyżanowski wobec tego, że prawnicy nie słuchają obecnie wykładów historyi austryackiej, żąda przemiany tej katedry na katedrę historyi narodów, wchodzących w skład Austryi — np. Czechów, lub Chorwatów. Referent kreśli następnie ogólny szkic rozwoju nauk pomocniczych historyi i przedstawia najważniejsze dziś potrzeby tych nauk, co do historyi Polski, a zwłaszcza potrzebę wydania albumu paleograficznego.

W dyskusyi zabierali głos: docent dr. Adam Szelągowski, prof. Kętrzyński, który radził uzupełniać panujący w polskich uniwersytetach niemiecki system nauki historyi systemem francuskim przez studya w Paryżu; docent Zakrzewski, który podniósł potrzeby organizacyi nauki historyi polskiej po za uniwersytetem i krytykował niemiecki system tej nauki na uniwersytetach, nie odpowiedni ani dla temperamentu, ani dla potrzeb Polaków. Nie wystarczy umieć odczytywać akta łacińskie, trzeba także uczyć się odczytywania aktów ruskich. Na ogół jednak biorąc, o ile same odczyty były ogromnie ciekawe, o tyle dyskusya nie zadowoliła publiczności. Prawdopodobnie przy następnych bardziej się ożywi.

Sprawa utrakwizmu, nowego środka załatwienia sporu polsko-rusińskiego, została poruszona na posiedzeniu krakowskiego koła nauczycieli szkół wyższych. Prof. Kurpiel przedstawił w wyczerpującym referacie całą bezsensowność projektu utrakwizmu, a zgromadzenie przyjęło jednogłośnie rezolucyę, energicznie oświadczającą się przeciw niemu. Ponieważ zaś i we Lwowie pedagodzy wręcz się wypodzieli przeciw temu dziwolągowi, przeto pozostanie on zapewne wyłącznym udziałem narodowych demokratów, którzy widzą w utrakwizmie sprytny sposób pozbawienia Rusinów ich szkół narodowych. Na razie po za narodowymi demokratami posiada utrakwizm zwolenników jedynie wśród ich przyjaciół politycznych — obszarników podolskich.

Ogromnie charakterystycznem dla tej ewolucyi, jaką przeżywają obecnie narodowi demokraci w Galicyi, jest stanowisko ich pisemka ludowego — *Ojczyzny*. To pisemko posiada charakter nacyonalistyczny w najgorszem tego słowa znaczeniu, zaś pod względem społecznym stoi na poziomie *Niedzieli*, organu niby ludowego, narzuconego chłopom przez sfery rządzące w Galicyi. Obecnie sfery te — obszarnicy i stojący na ich usługach księża — obok *Niedzieli* wprowadzają do zakładanych przez siebie czytelń ludowych i *Ojczyznę*, redagowaną niewątpliwie w sposób bardziej od tamtej dla ludu pociągający. Narodowi demokraci niejednokrotnie chwalili się, że *Ojczyzna* zdobywa sobie grunt pomiędzy ludem; istotnie szerzy się tam coraz więcej, dzięki wyżej wzmiankowanym protektorom. Ale jakich środków używa pisemko narodowych demokratów dla pozyskania tej protekcyi, najlepiej świadczą ciekawe wskazówki „O czem pisać,“ zamieszczone w jednym z ostatnich numerów tego pisemka.

Nikt nie ośmieli się twierdzić, że położenie chłopa galicyjskiego jest rajskie, jeśli się coś jednak w tem położeniu w ciągu ostatniego dziesięciolecia zmieniło, to zasługa opozycyjnych pism ludowych, które wskazywały złe strony życia chłopskiego, budziły w ludzie dążenie do zmian w tem życiu i w ten sposób je wywołały. Otóż narodowi demokraci tłumaczą swym czytelnikom, że taka metoda jest zła. „Piszcie — powiadają — głównie to, co się dobrego stało. Złego na świecie jest dużo, a jest ono plenne, jak chwast; *Ojczyzna* nie chce podawać chwastu swym czytelnikom, lecz tylko dobre ziarno, więc drukować będzie nie te listy, które opisują ludzi złych, lecz te, które mówią o postępkach dobrych i szlachetnych.“ Taka rajska harmonia panuje w Galicyi, że nie ma się poprostu na co użalać — zdaniem narodowych demokratów, bo i któżby chciał chłopa skrzywdzić? W pismach opozycyjnych lud skarży się na urzędników i księży, ale *Ojczyzna* tych skarg nie chce zamieszczać, gdyż urzędnicy i księża „są naszymi rodakami i pewnie dobrze życzą narodowi.“ Ponieważ obszarnicy są również w Galicyi — a przynajmniej w jej polskiej części — rodakami chłopów, przeto nic chyba nie brakuje, aby lud ten kraj uznał za eldorado, mlekiem i miodem płynące. Gdyby tak jeszcze można było wygnać Rusinów i Żydów, zapanowałby w Galicyi pomiędzy „rodakami“ wszelkich kategoryj taki stan błogosławiony, że chłopu nie pozostawałoby nic lepszego i w niebie żądać. Niestety, ci przeklęci Żydzi i Rusini spiknęli się, aby lud polski krzywdzić—i o nich to *Ojczyzna* kaze pisać. A więc starosta, komisarze różnych gatunków, komornicy, księża, obdzierający lud ze skóry — wszystko to jest nietykalne, natomiast należy walczyć tylko z Żydami i Rusinami. I jak tu obszarnik lub ksiądz nie ma popierać tak zacnego pisma! Wzrasta więc liczba odbiorców *Ojczyzny*, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że jej zbliżenie się do ideału osiągniętego przez *Niedzielę*, przyniesie ten sam los, jaki spotkał to ostatnie piśmidło: chłopi pogardzają niem i nie chcą go czytać.

Kiedy tak narodowi demokraci wkupują się w łaski pańskie odciąganiem ludu od obrony jego interesów, stronnictwo ludowe, zapomniawszy pewnie, że autorem kurendy średniowiecznej, o której niedawno pisałem, jest „rodak,“ ks. Wałęga, wystąpiło z urzędową odpowiedzią zacietrzewionemu biskupowi tarnowskiemu. Mianowicie wydział rady naczelnej stronnictwa ludowego ogłosił w *Kuryerze Lwowskim* i w *Przyjacielu Ludu* odezwę, której dano za motto cytatę z ewangelii św. Mateusza „Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie.“ Odezwa, cała konsekwentnie utrzymana w tonie religijnym, zawiera ustępy, które z pewnością wywrą pożądane przez autorów wrażenie na umysłach ludu.

Odezwa mówi: „Jeżeli świątynie pańskie podobne się staną do targowicy politycznej, na której łaski niebieskie chcą sprzedawać za odstępstwo od zasad i głębokich przekonań politycznych, płaczcie nad upadkiem św. Jeruzalem. Czekajcie chwili, kiedy palec Boży wypędzi ze świątyni kupczycieli rzeczy doczesnych, jak Chrystus Pan powrozem wypędził tłum jarmaczny, napełniający światowym zgiełkiem dom Jego Ojca. Wierzymy, że jak przed kilku laty nie zgnębiła ruchu ludowego klątwa kościelna i wszelkie wysiłki agitatorów w sutannie, tak i teraz lud przetrwa zwycięzko ten no-

---

zu, na którym złożone były narzędzia rozmaite, których zastosowania lud nie pojmował — tysiące spojrzeń spoczęło na nim, tysiące piersi oddech wstrzymało...

A on wyjął siekierę z wozu i podszedł do stóp najbliższego drzewa..

I zamilkła puszcza, jakby przerażona śmiałym zamiarem i oniemiał lud cały...

Bo oto zjawił się prorok...

I pojęły go wszystkie dusze i zrozumiały serca wątpiące...

I szedł mąż za mężem do wozu pełnego toporów stalowych, a potem stawał za [illegible]

A on wzniósł topór do góry i ciął nim drzewo ogromne...

A za nim tysiące ramion wzniosło stalowe siekiery i rozległ się w puszczy głuchy łoskot walących się drzew...

Padały olbrzymy, waląc się, przytłaczały sobą błota i trzęsawiska i czyniły mosty przez sadzawki i wody leśne. Zasypywano [illegible] ziemią, mchem i gałęziami i znoszono skały, by uczynić przejście łatwiejszem.

I szli naprzód zaciekli, gotowi do ofiar, do przelania krwi, szli naprzód za swym przewodnikiem, za swym jedynym „niewinnym,“ szli rąbiąc drogę z otchłannych ciemności do światła, do słońca...

Ale droga była daleka, więc wkrótce żywności brakło, i żyć musiano owocami leśnymi lub niekiedy upolowaną zwierzyną. Więc raz po raz padał pracownik jakiś i próżno żebrał spojrzeniem szklistem o pomoc i ratunek.

— Walka o światło nie zna litości — szeptał zaciekły wódz.

Więc szli dalej i dalej, ciągle jeszcze mając przed sobą leśne mroki, za sobą — dzieło walki i... trupy.

Nareszcie z wielkiej liczby ludzi została skromna garstka wychudłych nędzarzy; wtedy znalazło się wielu słabych, na duchu upadłych, którzy zwaliwszy się na wilgotne z mchów posłanie, iść dalej nie chcieli.

A wówczas przyszedł cicho, jak sen błogi po dniu ciężkim, jak wspomnienie marzące po rozkoszach przeszłych, ów „twórca pieśni.“ Każde jego słowo, każdy dźwięk serdeczny zamieniał się w uroczysty hymn nadziei w sercach upadłych. Więc zrywali się i szli do pracy ciężkiej, niestrudzonej, do walki na śmierć i życie z okropną, niezgłębioną puszczą...

Broniła się puszcza całą siłą swych strasznych a ukrytych zasadzek, broniła się pniami drzew, które padając zabijały nieprzyjaciół, nagłemi a zgoła niespodziewanemi trzęsawiskami, przepaściami wśród skalnych urwisk, ostrymi cyplami, niezgłębionemi wodami, jadowitą gadziną lub zwierzem krwiożerczym. Lecz legła w boju.

I dnia jednego na brzeg jej wyszła mała gromadka ludzi. Zapadłe ich twarze powleczone były żółtą, zwiędłą skórą; głęboko wpadnięte oczy wyrażały trud niezmierny, z po za którego jednak przebijał się błysk tryumfu.

Bo wyszli na światłość przejasną.

Bo zwyciężyli zapory więżące ich w ciemnościach otchłannych.

Bo uwierzyli w czyn.

Więc stanęli pełni tryumfu i dumy.

A na czele ich wódz, prorok. Wszystkie promienie słońca spływały na niego i rozpalały dokoła głowy koronę złocistą.

A kiedy tak stali nędzni a wielcy siłą, oniemiali od nagłego szczęścia, oblany słońcem wódz-prorok wyciągnął czarną, spracowaną dłoń do cichego twórcy pieśni...

wy atak biskupi. W bólu, jak ogniu, przetrawia się wszystko, co cenne w szlachetne i wzniosłe. Więc niech ten ból, który wam przychodzi od duchownych zarządów Kościoła, podniesie was i uszlachetni, uzacni i utwierdzi w tej wielkiej ewangelicznej zasadzie równości i braterstwa, której biskup chce czynnie kłam zadawać. Aby zaś dla innych pozostała zbawienna nauka na przyszłość z Waszych udręczeń, donoście nam o każdym fakcie znęcania się nad wami, o każdem odmówieniu rozgrzeszenia lub innej posługi religijnej za przekonanie polityczne, o każdem kazaniu politycznem znieważającem nieobecnych lub przytomnych w kościele, o każdym gwałcie religijnym.

Odezwa ta, wydana w oddzielnej odbitce, niewątpliwie przysporzy kłopotu biskupowi Wałędze, ale może będzie dlań nauką, jaką obosieczną bronią są wszystkie sposoby średniowieczne walki z żywiołowymi objawami społecznymi. Można jednakże wątpić, czy biskup tarnowski skorzysta z tej wskazówki. Tacy ludzie zwykle nie rozumieją, że dobrowolnie podkopują własne stanowisko i brną w fanatycznem zapamiętaniu, niepomni, że to, co było skuteczne przed pięćdziesięciu laty, obecnie jest nietylko niemądre, ale zupełnie bezsilne.

Lekarzom galicyjskim żadną miarą niepodobna odmówić wielkiej ruchliwości w kierunku organizacyi samopomocy. Wytworzyli oni poważne stowarzyszenie, obejmujące cały ich ogół, zdobyli się na dobrze prowadzony organ zawodowy *Głos lekarzy*, a obecnie komitet organizacyjny sekcyi społeczno-zawodowej zjazdu lekarzy i przyrodników polskich rozesłał za pośrednictwem *Głosu lekarzy* kwestyonaryusz w sprawie materyalnego położenia lekarzy. Odpowiedzi mogą być także bezimienne, a posłużą one za materyał dla głównego referenta, który ma na zjeździe omówić materyalne położenie i społeczne stanowisko lekarzy w Galicyi, jako też i projekty reform. Kwestyonaryusz zawiera wszechstronnie wyczerpujące zapytania. Odpowiedzi przychodzą nam liczne, które posłużą za doskonały materyał do monografii o położeniu stanu lekarskiego w Galicyi.

Organ lekarski ogłasza konkurs literacki na opracowanie sześciu tematów, dotyczących położenia materyalnego lekarzy rządowych, miejskich, prowincyonalnych, gminnych i kas chorych oraz szpitalnych. Prace urzędowe również mają służyć za materyał referentowi w sekcyi spraw społeczno-zawodowych zjazdu lekarzy i przyrodników.

Daleki.

„Prawa człowieka"

A PRAWODAWSTWO FABRYCZNE

w Ameryce.

Wiadomo, że mieszczaństwo, zdobywając władzę polityczną przez Wielką Rewolucyę, użyło jej przedewszystkiem na to, aby uwolnić przemysł od wszelkiego rodzaju powijaków cechowych, którymi wiązała go organizacya dawna. Było to faktycznie jedno z najważniejszych zastosowań „praw człowieka i obywatela," a mianowicie prawa wolności. Przy sposobności jednak zwycięzkie mieszczaństwo nie poprzestało na wykorzenieniu przeżytków przeszłości, jak cechy, ale w imię tej zasady zapragnęło zdusić zarodki przyszłości, dla niego niedogodne, a zewnętrznie tylko do owych przeżytków podobne. Znane prawo Le Chapelier'a z roku 1791 zakazuje jak najsurowiej wszelkich stowarzyszeń robotniczych i wszelkiego umawiania się w celu wspólnego żądania pewnych warunków pracy i płacy, ponieważ „umowy takie są sprzeczne z konstytucyą i stanowią zamach na wolność i na deklaracyę praw człowieka i obywatela." Dla symetryi wydaje to prawo zupełnie takie same zakazy i dla przedsiebiorców. Wkrótce jednak dyrektoryat, a jeszcze bardziej Napoleon, znoszą tę symetryę; przemysłowcy i kupcy otrzymują organizacyę zawodową, tylko na drugiej stronie nie przestają jeszcze przez bardzo długi czas ciężyć powyższe zakazy. I długo jeszcze teoretycy mieszczaństwa francuskiego uzasadniają je prawami człowieka i obywatela, a wszelka interwencya państwa na korzyść ekonomicznie słabszej strony w stosunku kapitału i pracy, wszelkie ograniczanie bezwzględnej wolności w zawieraniu umów najemnych, stwarzające warunki objektywne dla słabszego korzystniejsze, traktowane jest przez nich najzupełniej na równi z — protekcyonizmem celnym, jako sprzeczne ze świętą zasadą wolności!

Ale dziś już w Europie, nie wykluczając Francyi, takie poglądy należą, rzec można, do kopalnych. Ani dobrowolne zrzeszanie się osób, należących do jednej lub drugiej kategoryi, zawierających umowy przemysłowe, zrzeszanie się, wpływające oczywiście na warunki umowy, ani prawodawcze ustanawianie pewnych granic, których żadna umowa najemna przekraczać nie może, nie są już przez żadnego poważnego teoretyka uważane za sprzeczne z ideą wolności; przeciwnie, rozpowszechnia się przekonanie, że ekonomicznie słabsi, zmuszeni przez to w dawniejszych stosunkach do przyjmowania takich warunków umowy, jakie im narzucano, często bardzo zbliżonych do niewoli, dopiero dzięki tym nowym środkom zdobywają nieco faktycznej wolności, tkwiącej w swobodnym czasie i dobrobycie; i gdyby ktoś dzisiaj, mając formułować nową deklaracyę praw człowieka i obywatela, zamieścił w niej „prawo do prawodawstwa pracy," do *maximum* dnia roboczego, *minimum* odpoczynku, życia rodzinnego, a nawet — zarobku itd., to może w Europie nie spotkałby się już z wielką opozycyą nawet ze strony polityków zupełnie umiarkowanych.

Natomiast każdy, kto o wartości i postępowości danego kraju sądzi jedynie z litery jego praw i uroczystych deklaracyj, musi być zdumiony, gdy dowie się, jak dotychczas w wielkiej rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, w tej ojczyznie pierwszej deklaracyi praw człowieka i obywatela, na której dopiero francuska była wzorowana, nadużywa się tych zasadniczych haseł, w sposób zupełnie podobny do Le Chapelierowskiego z r. 1791, jak za ich pomocą faktycznie uniemożliwia się wszelki postęp prawodawstwa ochronnego pracy. Nie chcemy przez to naturalnie powiedzieć, że formy polityczne wogóle obojętne są dla postępu społecznego; tylko że warstwa ekonomicznie panująca, w każdym ustroju politycznym, nawet najmniej się do tego nadającym, szuka i znajduje sposoby umacniania swego stanowiska.

Deklaracya niepodległości Stanów Zjednoczonych zawiera zdanie: że „wszyscy ludzie stworzeni zostali jako równi i obdarzeni przez Stwórcę pewnemi nieniszczalnemi prawami: do życia, do wolności, do szukania swego szczęścia." Deklaracye podobne umieszczone zostały też prawie we wszystkich konstytucyach stanowych, jako ich paragraf pierwszy. W konstytucyi zaś związkowej znajduje się dodatek 14 z roku 1869, który brzmi, jak następuje: „Wszystkie osoby, urodzone lub naturalizowane w Stanach Zjednoczonych, są obywatelami całych Stanów, a zarazem stanu, w którym mieszkają. Żaden pojedynczy stan nie może wydawać lub wprowadzać ustaw, któreby naruszały prawa i swobody obywateli Stanów Zjednoczonych, nie może też pozbawiać nikogo życia, wolności ani własności bez prawidłowego procesu, nie może nikomu w zakresie swojej jurysdykcyi odmawiać równej opieki prawnej."

Zdawałoby się — cóż jaśniejszego i naturalniejszego? Tem bardziej, że sama data pokazuje, w jakim celu dodatek ten został włączony do konstytucyi: szło mianowicie o to, żeby stanom południowym uniemożliwić szykanowanie i krzywdzenie dopiero co równouprawnionych Murzynów w zakresie prawodawstwa i administracyi autonomicznej. Tymczasem Murzyni nie przestają cierpieć dotkliwych prześladowań, natomiast poprawka z r. 1869 łącznie z ową zasadniczą deklaracyą wolności we wszystkich stanowych konstytucyach użyte zostały przedewszystkiem na korzyść — wielkiego kapitału! Uderzający przykład podstawiania nowych znaczeń życiowych w ogólnych i niezmiennych formułach, któremi rządzą się społeczeństwa!

Stało się to tu — za pośrednictwem sądów. W Ameryce, tak samo jak w Anglii, sądy mają wielką swobodę działania i są zupełnie niezależne od wszelkiej innej władzy. W innych krajach sędzia jest obowiązany sądzić podług istniejącego prawa, bez względu na to, w jaki sposób przyszło ono do skutku i co on sam o tem prawie myśli; wolno mu je tylko interpretować, o ile litera prawa nie daje się całkiem ściśle do danego wypadku zastosować. W Ameryce, sędzia może badać i faktycznie bada, czy dane prawo zgodne jest z konstytucyą, i jeśli uzna, że niezgodne, to odmawia faktycznego stosowania prawa, wbrew jemu uwalnia lub skazuje podsądnych! W ten sposób garść ludzi, oddających się pewnemu zawodowi, unicestwia wolę ludu, wyrażoną w uchwałach wybieralnych ciał prawodawczych; to, że i sędziowie są, w części przynajmniej, wybieralni, nie zmniejsza anomalii, ponieważ wybierani są właśnie w celu — stosowania prawa, przez tenże lud wydanego. Ale anomalia jest głęboko zakorzeniona, trwa i długo jeszcze trwać będzie — ponieważ wychodzi na korzyść klasie, ekonomicznie panującej.

Oto np. stan Indyana wydał bardzo rozumne prawo, zakazujące wypłacania zarobków robotnikom w terminach dłuższych nad tygodniowe. Przedsiebiorstwo „Kompania republikanska żelaza i stali" w Muncio narusza to prawo, ale w ten sposób, że uzyskuje w samej umowie zgodę robotników na wypłaty w terminach dłuższych. Cóż łatwiejszego! W ten sposób możnaby w większości wypadków uzyskać zgodę robotników na dzień roboczy dłuższy od prawem ograniczonego, na pracę nocną kobiet i dzieci itd.; idzie właśnie o to, że umowa faktycznie prawie nigdy nie bywa zupełnie dobrowolna, i dlatego właśnie państwo stwarza dla niej granice objektywne. Inspektor fabryczny stwierdza przekroczenie; nie może zrobić nic innego, tylko zaskarżyć kompanię przed sąd. Sprawa przechodzi kilka instancyj; wreszcie przed kilku miesiącami najwyższy trybunał stanu Indyana — uniewinnia kompanię, ponieważ prawo, na które powołuje się oskarżyciel, sprzeczne jest z dodatkiem 14 do konstytucyi związkowej! Dlaczego? Uzasadnienie jest typowe: Moja praca jest moją własnością. Wolno mi ją wymieniać na inne dobra, służące do życia, i zawierać w tym celu dowolne umowy; a to tem bardziej, że konstytucya stanu zapewnia wszystkim wolność, jako prawo nieniszczalne, a wolność wogóle zawiera w sobie wolność umów. Jeśli mi prawodawca nie pozwala zawrzeć umowy co do sprzedaży mej pracy za wypłatę w terminach, jakie mnie się podobają, to nietylko narusza tę wolność zasadniczą, ale również „odbiera mi wolność i własność bez prawidłowego

procesu" — czego właśnie związkowy § 14 stanom bezwarunkowo zakazuje!

Przytem zaznaczyć trzeba, że faktycznie wolność zawierania umów i w Ameryce, tak jak wszędzie, bynajmniej nie jest bezwzględna. Umowy w treści swej niemoralne, przeciw dobru publicznemu wymierzone, wyraźnie oszukańcze itp. bywają zawsze przez te same sądy uznawane za nieważne. Ba! w każdym stanie istnieją prawa przeciw lichwie, unieważniające wszelką umowę, w której przekroczone jest pewne *maximum* odsetek. Tych sądy jakoś nie uznają za sprzeczne z konstytucyą, z wolnością umów. Gdy prawo zabrania umowy, ustanawiającej oczywiście szkodliwe dla robotnika terminy wypłaty, to nazywa się to (w uzasadnieniu powyżej przytoczonego wyroku) „oddawaniem robotnika w kuratelę, poniżaniem go, jako obywatela, podawaniem w wątpliwość jego zdolności do pilnowania własnych interesów"; ale nie ma przecie tego wszystkiego, gdy prawo zabrania komuś płacić „dobrowolnie" przez niego przyjętą lub oznaczoną stopę procentów...

A oto inna kategorya spraw. Miasta często udzielają prywatnym przedsiębiorstwom koncesyj na tramwaje, zastrzegając sobie w zobopólnej umowie możność oznaczania i czasowego zmieniania cen przejazdu. Przedsiębiorcy podpisują umowę; ale jak tylko miasto skorzysta z zastrzeżonego prawa i zniży cenę przejazdu, uciekają się do sądu, „udowodniają," że taka zniżka ich nieodbicie zrujnuje, i sąd unieważnia rozporządzenie zarządu miejskiego na tej zasadzie, że rujnowanie przedsiębiorcy za pomocą rozporządzenia jest odbieraniem mu jego własności bez prawidłowego procesu — zakazanem przez dodatek 14. Tu się już nic nie mówi o świętem prawie wolności umów: przeciwnie, narusza się je i chroni kapitalistów od następstw korzystania z niego.

Wyzyskuje się też dla tych celów końcowy ustęp dodatku 14 do konstytucyi, poręczający wszystkim obywatelom w każdym stanie równą opiekę prawa. Ktoby zgadł, ktoby przypuszczał, że na zasadzie tego przepisu sądy uznają za niekonstytucyjne prawa, wymierzone przeciwko osławionemu „truck - systemowi," przeciwko wypłacaniu zarobków kwitkami lub w naturze! A jednak tak jest. W uzasadnieniu pewnego wyroku najwyższego trybunału stanu Missuri powiedziano: każdemu pracodawcy, farmerowi, komuś zatrudniającemu służących itd. wolno część zarobku wypłacić w naturze; tylko przedsiębiorcom przemysłowym ma to być zakazane? Jest to sprzeczne z zasadą równości wszystkich wobec prawa. Gdyby jednak prawodawca wydał zakaz ogólniejszy, tak aby uniknąć pozoru nawet prawa wyjątkowego, to i tak na nic by się to nie przydało, bo wtedy powołanoby się na zasadę wolności umów.

Trybunał Indyany uznał na tej samej zasadzie za niekonstytucyjne prawo, oznaczające *minimum* płacy robotników, zatrudnionych przez przedsiębiorców, wykonywających roboty publiczne. Trybunał nazywa to „prawem wyjątkowem najgorszego gatunku"! Trybunał stanu Illinois unicestwił w praktyce w podobny sposób prawo, zapewniające robotnikom w kopalniach kontrolę nad ważeniem wózków... Inne trybunały obalają w imię „praw człowieka i podstaw konstytucyi" wszelkie próby ciał prawodawczych zmuszenia przedsiębiorców, zawierających kontrakty z rządem o roboty publiczne, do zatrudniania tylko robotników stowarzyszonych lub wogóle do trzymania się pewnych warunków pracy i płacy.

Sądy uznają tylko prawo rządu do wydawania rozporządzeń w celu zapewnienia bezpieczeństwa i zdrowia osób, pracujących w przedsiębiorstwach przemysłowych. Zgadzają się również, już teraz przynajmniej, na prawo rządu do ograniczania czasu pracy kobiet i dzieci, wyprowadzając to również z troski o bezpieczeństwo i zdrowie publiczne. Ale wszelka próba ograniczenia czasu pracy mężczyzn dorosłych uznawana już jest przez stan sędziowski za potworne naruszenie zasady umów i równości wobec prawa; i jest to jedna z przyczyn, dla której prawodawstwo pracy w tym zakresie nie postępuje zupełnie w wielkich, demokratycznych Stanach Zjednoczonych.

Tak to w życiu społecznem *Vernunft wird Unsinn, Wohlthat — Plage* — zanim wyrośnie siła, która do algebraicznej formuły zasad wstawi znowu znaczenie konkretne, zgodne z rzeczywistością.

K. R.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Znowu ankieta.

P. Koskowski, który niedawno oświadczył, że w prasie naszej niema z kim mówić, znalazł na szczęście kogoś, kto go wybawił z nudy milczenia i do kogo mógł się zniżyć bez zbytniego uszczerbku dla swej wielkości. *Kuryer Warsz.* zapowiedział nową „ankietę." Będzie on do rozmaitych miast wysyłał mężów z bystrym wzrokiem i przenikliwym rozumem, którzy za pomocą wywiadów zbadają, „czego potrzeba prowincyi." Projekt ten ubawił niektóre jej pisma i wywołał ich odpowiedź: my doskonale wiemy, czego nam potrzeba, prosimy tylko o pomoc w spełnianiu naszych życzeń. Otóż p. K. uznał, że powinien swoją powagą skarcić ten niesforny drób dziennikarski. Zaniechajcie — rzekł on — swoich „podrygów stylistycznych i logicznych," bo naprzód wy „nic nie wiecie," powtóre — „nikogo o niczem nie informujecie." Więc milczeć i czekać, co my wam objawimy — my, którzy „mamy organizacyę wywiadowczą możliwie dokładną" i „środki materyalne stosunkowo znaczne."

Druzgoczącym w tej przemowie jest na nieszczęście tylko jej ton. Bo pomimo „możliwie doskonałej organizacyi wywiadowczej i znacznych środków materyalnych" *Kuryera*, nie ulega żadnej wątpliwości, że ludzie, którzy ciągle, długo i zblizka obserwują życie jakiejś dzielnicy kraju, znają jej potrzeby lepiej i gruntowniej, niż delegaci redakcyjni, którzy nieraz od pociągu do pociągu załatwiają się ze wszystkiemi jej zagadnieniami. Wywożą też oni zwykle pęki frazesów związanych blagą, które potem zapamiętale młócą, sprawiając więcej łoskotu bijakami cepów, niż pożytku wydobytem ziarnem. I chociażby to miało przejąć zgrozą przedsiębiorców „ankiet" dziennikarskich, twierdzimy, że żadna z nich nie rozjaśniła ani jednej sprawy społecznej i co najwyżej zaznajomiły one tylko czytelników z poglądami, często bardzo naiwnymi, zapytywanych jednostek. Dość przejrzeć ogłoszone świeżo przez *Kuryer* opinie „specyalistów" o nowem prawie fabrycznem, ażeby się przekonać, ile w takiem zdobywaniu prawdy jest reklamowego hałasu, a ile poważnej krytyki.

Mają również słuszność pisma prowincyonalne, protestując przeciwko osłabieniu ich znaczenia. Gdyby warszawsko-gazeciarska arystokracya należycie rozumiała interes społeczny, powinnaby energicznie popierać te organy, zamiast je lekceważyć i brutalnie dyskredytować. Obecnie czterech literatów objeżdża miasta prowincyonalne z odczytami dla zebrania funduszu na powodzian i dmuchnięcia w gasnące, małe ognisko kultury. Taka jednorazowa wyprawa nie może dać trwałych skutków. Natomiast gdyby literaci warszawscy chcieli zsiąść z wysokich koniów i zrobić ustępstwo z zarabianych kopiejek, zasilając swemi pracami pisma prowincyonalne, nie potrzebowaliby wyręczać ich swemi „ankietami" i przemawiać do nich z dorobkiewiczowską pychą.

Źródło zarazy moralnej.

W policyjnej kronice przestępstw ustawicznie występują „pobytowcy," tj. sądownie skazani na przymusowe siedzenie w pewnych miejscowościach. Bez środków do życia, bez zajęcia, którego im strwożona ludność odmawia, jedni rabują okolicę, a drudzy wracają do Warszawy, gdzie pomnażają szeregi złoczyńców. Oddawna juz urzędownie uznano podwójną szkodliwość tych kolonij kryminalnych: stają się one bowiem plagą i zarazą miejsc, w których zostały założone, a zarazem zasilają ciągłymi dopływami zbrodniczość warszawską. To też przed kilku laty słychać było o projekcie zniesienia ich i zastąpienia innym rodzajem kary. Każdy niemal dzień stwierdza konieczność tej reformy. Okolice punktów, przeznaczonych dla pobytowców, przedtem względnie spokojne, roją się od złodziejów i napastników, których liczbę pomnaża zdemoralizowana złym wpływem ludność miejscowa. Nie możemy się temu dziwić, zważywszy, że ich wytwarza nietylko instynkt zbrodniczy, ale także samozachowawczy. Nierzadko się zdarza, że do dworu lub chaty włościańskiej przychodzi żebrak, który otwarcie mówi: „Jestem złodziejem, skazanym na pobyt w mieście, kraść nie chcę, proszę o jałmużnę, bom głodny." Rozumie się, takich szczerych kwestarzów jest bardzo mało, większość woli szukać zdobyczy na drodze występku. Jesteśmy przekonani, że z chwilą, kiedy te rozsadniki zarazy moralnej zostaną skasowane, zniknie wiele objawów, które nas dziś trapią i zatrważają.

Nibypsychologia.

Działalność publicystyczna księży cieszy się u nas stale przywilejem wyjątkowego uznania i powagi nawet wtedy, kiedy jest siewem pustych, niekiełkujących w żadnej glebie komunałów. A jeżeli rzuca jakiekolwiek płodne ziarna, budzi zachwyt i nadzieję nadzwyczajnych plonów, które mają do syta nakarmić ogół głodny prawd życiodawczych. Od pewnego czasu przy pulpicie pierwszych skrzypiec w orkiestrze prasy warszawskiej zasiadł ks. W. Kirchner, który wygrywa chętnie słuchane i z zapałem oklaskiwane melodye rozumnej filantropii. Trzeba przyznać, że jest w nich dużo szczerego uczucia i krytycznej rozwagi, a głównie ich myśl zastąpienia doraźnej i bezskutecznej jałmużny uorganizowaną opieką nad nędzą zawiera teoretyczną słuszność i praktyczną konieczność. Na nieszczęście ks. K. wniósł do tej sprawy umysłowe nałogi swego stanowiska, a nie zaopatrzył się dostatecznie w wiedzę z po za swego zawodowego widnokręgu. W ostatnich numerach *Tygodnika ilustrowanego* wystąpił on z „psychologią włóczęgi" — jako typu zwyrodniałego i antispołecznego. Otóż ta psychologia jest zarówno powierzchowną, jak mętną. Autor nie poradził się należycie ani dzieł naukowych, ani utworów artystycznych (np. Gorkiego), nie dojrzał więc w duszach tułaczów sprężyn ich fatalizmu i źródeł ich cierpienia. Nadto spędził w jedną gromadę istoty rozmaitego rodzaju, tak że jego artykuł wygląda jak areszt cyrkułowy, w

którym znajdują się razem zgarnięci z ulicy: żebracy, włóczęgi, prostytutki, przestępcy polityczni itd. Po gładkim, psychologiczno-socyologicznym lodzie niezmiernie łatwo na dziennikarskich łyżwach prześlizgiwać się od zjawisk do zjawisk, niemających między sobą bezpośredniej łączności. Nie dziwno też, że ks. Kirchner owej różnolitej mieszaninie przypisał nawet siłę dokonywania wielkich przewrotów dziejowych. „Żywioł włóczęgowski — powiada on — żebracy (?), ulicznicy (?), prostytutki (?) zawsze brali udział we wszystkich rewolucyach. Działali tam, jako zwolennicy ruchu, podżegacze, nieprzebłagani egzekutorowie, a nawet niebezpieczni demagogowie i trybuni ludu. Wiadoma wszystkim (?) rola, jaką odegrało włóczęgostwo (!) i żebractwo uliczne (!) — nietylko mężczyźni, ale nawet kobiety w wielkiej Rewolucyi francuskiej." Trudno o pogląd płytszy. Że w burzach społecznych przyjmują udział niezadowoleni i zrozpaczeni wszelkiego rodzaju, a więc również nędzarze, to jest objawem bardzo naturalnym. Ale żeby ich mianować sprawcami tych burz, żeby kataklizmy historyczne redukować do wybuchu szumowin społecznych i np. w Rewolucyi francuskiej wysuwać na przedni plan „włóczęgostwo i żebractwo" — na to potrzeba mało wiedzieć i mało rozumieć. Jeżeli przeto ks. Kirchner rzeczywiście pragnie oświecić opinię publiczną u nas i nakłonić ją do czynów filantropijnych względem włóczęgów — o czem nie wątpimy — niech jej nie błąka ich mniemanem powinowactwem z odmiennymi typami i ich mniemanem uczestnictwem w tragedyach świata, w których oni grają rolę podrzędną i często przypadkową.

Delegacya kobiet.

Powołana do przeprowadzenia poprawy materyalnego położenia pracownic Delegacya kobiet w Warszawie ujrzała się zniewoloną do oparcia tej czysto ekonomicznej reformy na poprawie ogólnego ich położenia, ponieważ przy dzisiejszej zależności wzajemnej poszczególnych zjawisk społecznych żadnego z nich w oderwaniu od reszty traktować niepodobna.

Cel ten wywołał potrzebę zastanowienia się nad dzisiejszym stanem tej sprawy u nas i konieczność rozpatrzenia żądań naszych kobiet w szeregu referatów, poruszających szczegółowo i kolejno wszystkie strony zawiłego zagadnienia.

Pierwszy referat na ostatniem zebraniu Delegacyi wygłosiła p. B. Centnerszwerowa, a celem prelekcyi było właśnie wykazanie spójni pomiędzy zadaniami ściśle ekonomicznemi a ogólno-kulturalnemi, wyrażenie koniecznej łączności pomiędzy ruchem czysto robotniczym a tak zwanym mieszczańskim, i nawoływanie do wspólnej pracy dla wspólnych celów.

Jakkolwiek ruch kobiecy posiada ogólno-społeczne znaczenie i jest procesem nawskróś kulturalnym, to jednak wskutek faktu, że kobiety nie posiadają jeszcze tych nawet praw, jakie już przysługują ogółowi mężczyzn, przeto na razie przynajmniej (wszystko to są tezy referatu) mają one pewne odrębne a sobie tylko właściwe interesy, usprawiedliwiające organizacyę czysto kobiecą, dążącą do poprawy zarówno ekonomicznego, jak i społecznego ich położenia.

Uzyskanie równych praw w kodeksie cywilnym, możność swobodnego rozporządzania majątkiem osobistym pomimo zamążpójścia, równy wpływ na los dzieci, uprzystępnienie wszystkich gałęzi wykształcenia ogólnego i zawodowego, wreszcie usunięcie tego wyzysku ekonomicznego, jakiego specyalnie kobiety padają ofiarami — oto najbliższe cele ruchu kobiecego i zadań, nakreślonych przez warszawską Delegacyę kobiet, mającą stać na straży interesów materyalnych i moralnych nietylko swoich członkiń, lecz wszystkich kobiet naszych wogólności, bez względu na to, czy są już dostatecznie uświadomione do popierania działalności tej wyłącznie swojej instytucyi, czyli też trzeba je dopiero oświecać i do pracy nad poprawą własnego losu pobudzać.

Referat p. Centnerszwerowej poruszył wszystkie te zagadnienia tylko ogólnikowo dla wprowadzenia ich niejako na porządek dzienny, a zadaniem dalszych wykładów będzie szczegółowe ich omówienie dla wypracowania ostatecznie konkretnego programu pracy.

BADANIA NAUKOWE.

Trzy odczyty o rasowości.

II.

„Rasa" w świetle socyologii.

Wywody antropologiczne okazały się w ręku zwolenników teoryi rasowej bronią zbyt słabą. Nauka odmówiła bowiem uznania tym właśnie twierdzeniom, które stanowić miały podwaliny całej teoryi: w świetle krytyki nie ostała się ani określoność somatologicznych cech rasowych, ani rasa jako pewna trwałość i niezmienność typu antropologiczno. Ale mimo to nie dali oni za wygraną! Czego się nie uda obronić za pomocą antropologii, to można przecież podtrzymać, schodząc zręcznie ścisłej nauce z drogi na ciemne, zawiłe ścieżynki psychologicznego uzasadnienia. „Uczucie," „zdrowy instynkt," powiadają teraz, jest najlepszym drogowskazem, gdy nam sądzić przypada o rasowej przynależności, daleko lepszym i pewniejszym, niż trzeźwa a życiu obca, w nieuchronnych formułkach zasklepiona nauka. Czysto psychologiczne, podmiotowe czynniki zostały podniesione do godności sędziego, więc też i przeważnie psychologiczne, naturalnie społeczno-psychologiczne czynniki mają służyć za przedmiotowe uzasadnienie wyroku. Wyższość społeczno-twórczej siły, oraz pozostająca z nią w ścisłym związku wyższość kultury ma teraz świadczyć o wyższości rasy. Rasa wyższa występowała zawsze na widownię dziejów, jako lud podbijający i państwotwórczy, organizujący wytwórcze siły społeczne, wydający z pośród siebie największych mężów stanu i wojowników, a zarazem jako lud-przedstawiciel cywilizacyi, religii, sztuki i moralności. I tak np. E. Dühring starał się wykazać, że cały cywilizacyjny, zwłaszcza zaś literacki dorobek nowoczesnej Europy jest dziełem Aryjczyków, a wszystko, co liche, ułomne i brzydkie, powstało pod wpływem Semitów; Ammon zaś na różnicach rasowych pragnąłby oprzeć cały system socyologii.

Nadużywanie socyologii dla celów politycznych, bo one są jądrem wywodów rasowo-teoretycznych, sprawiło, że obok antropologów, socyologowie wypierają się narzuconego im braterstwa.

W drugim odczycie, z cyklu urządzonego staraniem wiedeńskiego Towarzystwa etycznego, Ernest Wiktor Zenker *) rozpatrywał kwestyę rasy, starając się z punktu widzenia socyologa wykryć jej znamiona i trwałość oraz znaczenie społeczne.

Już na pierwszy rzut oka można poznać, że rozmaite grupy społeczne, ludy, narody, państwa różnią się między sobą skłonnościami, sposobem życia, urządzeniami itp. Istnieją ludy i plemiona o wybitnych skłonnościach do życia pasterskiego lub rolniczego, takie też, dla których łowiectwo zdaje się posiadać nieprzeparty urok, zarówno jak plemiona oraz ludy koczownicze i osiadłe, wojownicze i spokojne. Jedne ludy dążą do państwowego zcałkowania się, jak np. Francuzi, inne, jak Grecy i Niemcy, wykazują instynkta wybitnie separatystyczne. Ale pod względem socyologicznym, zarówno jak antropologicznym, typy te rysują się w swoich różnicach jaskrawo, jeśli naszym badaniom zakreślimy krąg niewielki, zacierające zaś i znikomie, jeśli tylko szersze nadamy im granice. Wśród ludów murzyńskich, które antropologicznie stanowią typ dość odrębny, istnieją zarówno plemiona rolnicze, jak pasterskie, koczujące, jak i zdawna osiadłe. W zasadzie panuje u murzynów patryarchat w formie najbrutalniejszej, jako zupełne poddaństwo kobiet; nietrudno jednak z ich życia społecznego zaczerpnąć przykładów wysokiego poważania dla kobiet, które się objawia w dopuszczeniu ich do służby wojskowej, w uznawaniu jako wodzów lub królów, a nawet tu i owdzie w matryarchacie. Niema zatem typu społecznego ludów murzyńskich, zarówno jak nie można mówić o typie społecznym Mongołów, Semitów lub Aryjczyków. Bo i jak scharakteryzować socyologiczne właściwości ludów aryjskich? Prawda, że wszędzie, gdzie występują, zauważyć się daje różniczkowanie na klasy, podział społeczeństwa na wolnych bojowników i pół-wolnych lub poddanych. Ale nie jest to wcale rasową właściwością Aryjczyków, lecz oznaką pewnego stopnia rozwoju społecznego, istniejącą i u plemion murzyńskich. Porzucanie pierwotnych siedzib, wędrówki i podbój zamieniają plemiona podbijające w panów, podbite zaś w poddanych.

Wysokie stanowisko społeczne kobiet uważane zazwyczaj bywa za charakterystyczną cechę ludów aryjskich. Ale i matryarchat, który tutaj tak często spotykamy, jest tylko pewnem stadyum rozwojowem, wspólnem wielu ludom. A nie można przytem zapomnieć, że np. u Greków kobiety aż do ostatnich czasów grały bardzo podrzędną rolę, u Indów zaś były własnością męża i musiały znosić bardzo złe obejście.

Chamberlain nawet w tworzeniu pojęć religijnych widzi społeczną właściwość Aryjczyków: do nich odnieść należy religię Wedy, buddyzm i chrześciaństwo.

Co do obu religij indyjskich, to przed wyciąganiem z nich wniosków należałoby zbadać pierwej rasową przynależność Indów, a wobec pstrokacizny rasowej, którą tam spotykamy, nie jest to wcale rzeczą łatwą. Przeważająca liczba ludów, wyznających buddyzm, jak np. Japończycy, Chińczycy, Tybetańczycy, nie należy wcale do aryjskiej grupy językowej. Chrześciaństwo rozkrzewiło się wprawdzie przeważnie między ludami, mówiącymi jednym z języków aryjskich, ale nawet gdybyśmy zgodzić się chcieli na wszystkie wywody Chamberlaina w tej sprawie — mimo ich ogromnie wątpliwej wartości — to semickie podłoże chrześciaństwa, semickie pochodzenie pierwszych uczniów i męczenników pozostanie zawsze prawdą historyczną.

Wszystkie wyżej rozwinięte grupy, a zatem wszystkie ludy historyczne wykazują nietylko rozmaitość cech rasowych, ale również i takie zróżnicowanie wewnętrzne, tak daleko idący podział pracy, że u jednego i tego samego ludu spotkać można rozmaite społeczne zdolności, skłonności i zamiłowania. Niema w Europie narodu wyłącznie rolniczego, ani też wyłącznie przemysłowego i niema ludu przedstawia-

*) Autor prac: „Die Gesellschaft," dwa tomy i „Der Anarchismus," „Die sozialen Grundlagen der Bewegung des Jahres 1848" itd.

jącego wyłącznie *jeden* typ polityczny. U Greków mamy Lacedemończyków i Ateńczyków, u Niemców — demokratycznych Badeńczyków i arystokratyczno-monarchistycznych Prusaków. Różnica w formie rządu pociąga za sobą różnicę całego społeczno-politycznego typu i charakteru danego odłamu ludowego — a zatem określanie tak złożonej całości paroma rysami jest zawsze niedostateczne, a najczęściej błędne.

Jedynym typem czystym, niezłożonym rasowo i socyologicznie jest pierwotna horda, taka jaką teraz jeszcze napotykamy u Buszmanów, Eskimów, najdalszego krańca Północy, u ludów kraju Ogniowego itd. A teraz pytanie: skąd powstaje socyologiczny typ hordy — z antropologicznych skłonności, czy z zewnętrznych warunków życiowych, z środowiska? Polemizując ze zwolennikami teoryi rasowości, którzy w antropologicznym typie widzą uwarunkowanie jakości typu socyologicznego, powołuje się Zenker na Taine'a, Buckle'a, Milla, Spencera, którzy człowieka i społeczeństwo ludzkie uważają za wytwór środowiska, ale nie godzi się i na ich teoryę w zupełności. Przystosowanie się do otoczenia jest wprawdzie najważniejszą dźwignią rozwoju, ale ma ono granice zarówno biologiczne, jak socyologiczne. Naturalnie — wśród stepów spotykamy koczowników, na żyznych dolinach — rolników, a nad wybrzeżami morskiemi — rybaków i kupców; niejedna rasa zginęła, nie mogąc się dostosować do nowych warunków, a zdolni skądinąd Indyanie nie umieją zająć się rolnictwem. Że rasa nie jest żywiołem zasadniczym, warunkującym rozwój społeczny, na to mamy dowód oczywisty w rozmaitości kształtów społecznych wśród ludów tejże samej rasy, np. Żydów i Fenicyan, niemieckich Szwajcarów i Tyrolczyków. Daleko idące różnice cech socyologicznych nie mogłyby istnieć obok tożsamości rasy, gdyby w niej miały swoje źródło.

Z owych grup, niezłożonych jeszcze antropologicznie i socyologicznie z hordy pierwotnej, *powstają ludy i narody nie przez rozmnażanie się, ale przez zmieszanie, skupienie i zlanie rozmaitych, początkowo odrębnych, a nawet obcych lub wrogich grup społecznych.* Wszystkie kształty, które obejmujemy teraz wspólnem mianem organizacyi społecznej: podział pracy, uwarstwienie społeczne, panowanie, rodzina itd., wszystko to ma swe źródło w zetknięciu się nieprzyjaznych grup i w walce między niemi. Najdawniejsze formy podziału pracy polegały na różnicach rasowych. Grupa zwycięzka ujarzmiała podbitą i zamieniała ją w niewolników lub poddanych. I tak żył obok siebie przez ciąg wieków lud panów i lud niewolnych, różniąc się od siebie językiem, religią i ostro przestrzeganą czystością krwi, aż wszechpotężny proces asymilacyjny stopił w jedność mowę, wiarę, często i obyczaje, a pozostawiając świadomość różnic pochodzenia *klasowego*, zatarł różnice *rasowe.* Grecy ujarzmili w ten sposób Pelazgów, Rzymianie — tubylców etruskich, indyjscy Aryowie — plemiona Drawidów itd.

Prócz różnic klasowych tkwi drugi jeszcze zasadniczy czynnik społeczny: *rodzina* w różnicach rasowych. Małżeństwo w początkach swoich jest brutalnym stosunkiem gospodarczym, polegającym na przywłaszczeniu, na *posiadaniu* kobiet i dzieci przez mężczyznę. Kobiety i dzieci były jego własnością i rzeczą, jego niewolnikami, których napędzał do pracy lub sprzedawał. Przywłaszczanie sobie kobiet swojej hordy było wobec równości i wspólności posiadania rzeczą niedozwoloną, a każda taka próba hasłem zatargów. Żony rabowano więc sobie z pośród obcej hordy, później zaś kupowano. Małżeństwo przez porwanie i kupno, które dało początek egzogamii, jest zjawiskiem rozpowszechnionem u wszystkich ludów pierwotnych, a wśród kulturalnych napotykamy obecnie jawne jego ślady.

Widzimy zatem, że oba najważniejsze czynniki i podwaliny organizacyi społecznej spoczywają na zlaniu się rozmaitych ras i że nietylko wzrost, ale i wewnętrzny rozwój społeczny w istocie swej zależy od zetknięcia się rozmaitych ras. Proces ten odbywał się w podwójnych formach: dwie różne a sąsiadujące grupy lub rasy żyły długi czas w wojnie, zakończonej następnie zwycięztwem *A*, która stała się teraz rasą panującą, podczas gdy *B* przypadła w udziale rola klasy służącej. Obie prowadzą z początku życie odrębne, aż asymilacya i małżeństwa mieszane przetapiają je w jedność.

Częstszym wypadkiem był drugi: dobrowolne zaniechanie wojny i wymiana kobiet w dowód stosunków przyjaznych. Niejedna grupa przeszła przez oba procesy. Przyjazne plemiona, zamieniając wśród egzogamii swoje kobiety, zostają podbite i ujarzmione przez napływającą z daleka falę ludów nowych. W tej fazie napotykamy teraz wiele ludów pierwotnych i w niej t. zw. ludy historyczne ukazują się po raz pierwszy na widowni dziejów. Plemiona żydowskie, greckie, germańskie itd., będąc pozornie grupami pierwotnemi, tworzyły w rzeczy samej wielokrotną mieszaninę rozmaitych ras.

Żydzi z czasów biblijnych uważani są zazwyczaj za rasę czystą, tworzącą na ziemi palestyńskiej prawie jednolity naród. A przecież rozpadali się oni na dwanaście pokoleń, nietworzących nawet etnicznej jedności. Większość tych pokoleń wśród swego długiego, koczowniczego życia pomieszała się z Edomitami, Moabitami, Midyanitami i t. d., a w niemałym stopniu i z Egipcyanami. Jeszcze przed wejściem na widownię dziejów rasowa czystość ludów należy już zazwyczaj do — przeszłości. Podobnie jak Żydzi przedstawiają się wszystkie narody, których jedność etniczna, państwowa i narodowa rozpoczyna się dopiero po okresie wielokrotnego krzyżowania się z rozmaitymi ludami.

Opierając się na tych faktach, przychodzi Zenker do wniosku, że mieszanie się i krzyżowanie ras pierwotnych, a rozwój społeczny pozostają do siebie w prostym stosunku przyczyny do skutku, że zatem mówić o czystym rasowo narodzie lub społeczeństwie jest to *contradictio in adjecto.* Czysty rasowo jest tylko pierwotny składnik społeczny, dzika, niezróżnicowana horda, a ludów czystej rasy niema teraz zgoła z wyjątkiem Eskimów, Buszmanów i mieszkańców kraju Ogniowego, zapędzonych w najmniej gościnne zakątki ziemi; a i te nieliczne, czyste rasy zdaje się niedługo zaginą.

Zmienność cech rasowych jest rzeczą naturalną i konieczną, bo wraz z krzyżowaniem się i różnicowaniem musi nastąpić przekształcenie skłonności i zdolności, ustawiczna zmiana społecznych form i urządzeń; dlatego też wszelkie „rozpoznawanie" u nowożytnych ludów psychologicznych i społecznych rysów ich rzekomo rdzennego plemienia nazwać trzeba szaleństwem. Rzymianie z czasów Cesarstwa różnili się bardzo od Rzymian z czasów rzeczypospolitej, a społeczny typ Brutusa zanikł chyba zdawna wśród Włochów i Rzymian obecnej doby.

Rasa, jako trwałość przekazanego nam wiekową puścizną typu, nie może ostać się w świetle poznania socyologicznego zarówno, jak wobec antropologii. A zatem — należałoby może pojęcie „rasy," które sobie już zdobyło prawo obywatelstwa w naszem myśleniu, odrzucić poprostu? Zenker na to odpowiada stanowczem „nie". bo każda grupa społeczna posiada pewien określony charakter socyologiczny, mnóstwo właściwości, tylko nie są one puścizną, po praprzodkach, lecz wytworem przystosowania się społecznego. W członkach tejże samej grupy istnieje przytem nader żywa świadomość tej odrębności grupowej, tego wspólnego charakteru socyologicznego. Jest to świadomość rasowa, będąca społeczno - psychologicznym faktem, choćby wszystkie przyjęte przez zwolenników teoryi rasowości określenia okazały się w równej mierze fałszywemi. Ta świadomość wypływa z sympatyi ku temu, co nam podobne, z niechęci ku temu, co jest inne. Nasamprzód różnica cech somatologicznych bywa silnie odczuwana i karana srogą nienawiścią. Odmienny rysunek nosa wystarczającą bywa przyczyną obudzenia uczucia obcości, a więc i niechęci. A potem różnica mowy a nawet tylko dyalektu lub akcentu, różnica wyznania, choćby tylko wiary w pewne dogmaty — wszystko co odmienne jest zatem wrogie. Im prostsze zaś stosunki danego ludu, tem snadniej najmniejszą różnicę odczuwać będzie, jako znamię nierówności i płacić za nią śmiertelną nienawiścią. Swój lud, swój naród, uważają wszystkie ludy, narody za „wybrany," darząc resztę mniej lub więcej jawnie głoszoną nazwą „nieczystych" lub „niższych."

A przecież mimo tych wrogich krzyżowaniu się ras popędów i uczuć, rzeczywiste warunki życiowe prą ustawicznie do zlania się niechętnych sobie elementów w wyższą jedność, do przetwarzania pierwotnych różnic w nowe, wspólne formy. To samo uczucie miłości dla równego sobie, które zdaniem Zenkera jest zasadniczym popędem społecznym, a zarazem źródłem nienawiści rasowej, staje się w pozornej sprzeczności z samem sobą, źródłem i narzędziem asymilacyi. Wspólność społecznych interesów może zmienić niechęć rasową, „obcość," w pokrewieństwo społeczne, w solidarność klasową.

Twierdzenie, że asymilacya i krzyżowanie się ras połączone jest zawsze z obniżeniem wartości rasy wyższej, nie jest na razie niczem poparte i sprzeciwia się doświadczeniom, zebranym z hodowli zwierząt. Do oceniania przytem moralnej i kulturalnej wartości ras brakuje nam pewnej miary objektywnej, bez której sądy mało na wagę zasługują. Antropologia, jak to Hertz w odczycie swoim wykazał, odmawia nam tu zupełnie pomocy, bo nawet forma czaszki i waga mózgu nie dostarczają żadnych pewnych wniosków o zdolnościach duchowych. Możnaby porównać rozmaite kultury — ale to rzecz nie tak łatwa. Kto się podejmie trafnie odpowiedzieć na pytanie, czyja kultura jest obecnie wyższa — ludów germańskich lub romańskich? Kto trafnie osądzi, czy środkowo-europejska kultura wyższa jest od wschodnio-azyatyckiej, czy też odwrotnie? Chińczyk napewno przekłada swoją nad europejską. A czy można przytem oceniać zdolności kulturalne wyłącznie według osiągniętych już rezultatów? Kto wie, jak jeszcze daleko zajdą ludy, które teraz znajdują się dopiero u pierwszych szczebli rozwoju kulturalnego?

Zdaniem Zenkera „czysta rasa" wśród społeczeństw nowożytnych, oparta na niej „wyższość" jest fikcyą zarówno w świetle socyologii, jak w świetle antropologii. Wiedza ścisła, na którą się zwolennicy teoryi rasowości powołują niemniej jak i fakta społeczne, którymi chcą bądź uzasadnić, bądź usprawiedliwić wygłoszone hasła, użyć się ku temu celowi nie dają. Ciasny egoizm polityków tem widniejszy się staje.

Hel. G.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura rosyjska.

S. A. Najdienow: *Dzieci Waniuszyna.*

Dramat Najdienowa wypłakany jest łzami bólu i rozpaczy.

Łzami, które piekąc, jak płomień, sączą do duszy jad goryczy, wzniecają smutek, budzą w piersiach długo tłumione westchnienia i strumieniami żalu zalewają serce.

Ach, jak smutno, jak smutno!..

Tu, śród nas, na słonecznych polanach i w ciemnych trzęsawiskach życia powtarzają się rzeczy straszne, powtarzają się stale, nieustannie, od wieków, a my, młodzi, patrzymy na to bezsilni i nie umiemy zaradzić złemu, ha, może nawet nie wszyscy posiadamy wiarę, że gdy na nas czas przyjdzie, potrafimy uniknąć gorzkiego losu...

Ach, jak smutno, jak smutno!..

Umierają stare światy — powstają nowe, gasną jedne światła i zapalają się drugie, a młyn życiowy szumi i szumi odwieczną melodyę bolesnych skarg i rozdźwięku...

Młodość — zdobywca staje naprzeciw starości i woła: „Nie rozumiesz mnie.. Odejdź!“ A starość się broni. I oto wre bój wiekowy, bój nieubłagany i niemiłosierny, bo w skutek jego wątpić nie można. Młodość zwycięży... Tak, zwycięży w najbliższej przyszłości, a tymczasem... Tymczasem starość spostrzega się, że jej rola skończona, że sił do dalszej walki już nie ma... Więc rezygnuje, tłumi ból, gasi w piersi pożar dumy i podczas pierwszego zawieszenia broni powiada serdecznie do młodości: „Tak, ja ciebie nie rozumiem, wytłomacz się!“

Lody, owiane nagle falą ciepła serdecznego, topnieją. Chwila milczenia, potem wybuch łez, okrzyk, więznący w gardle — i znowu milczenie. Dwie pary oczu, przesłonięte mgłami wzruszenia, próbują się wzajem przeniknąć, starają się odgadnąć i uprzedzić słowa, co za chwilę z ust padną.. Daremnie!.. Nieprzenikniony tuman, który długie wytworzyły lata, pyłem oczy starcze zaprószył: nie widzą dobrze i nie przebijają już mroku...

„Mów!“— prosi starość i drży w oczekiwaniu na odpowiedź, ale młodość nic do powiedzenia nie ma, bo nie wierzy, aby ją zrozumiano, bo daremnie szuka nici, któremi możnaby zacieśnić węzeł serdeczny... I ta niemoc łkanie wydobywa z piersi młodzieńczej, a na ubieloną głowę starości spada, jak grom... Jeszcze chwila milczenia — i welony ponurego kiru spowijają dwa udręczone serca. A taką żałobę nosi się już do grobu.

Zrozumieli się. Tak, nic wspólnego ze sobą nie mają, bo nic ich nie łączy... Nic!.. I dlaczegóż to?.. Dlaczego!?..

Teraz dopiero odpowiada niewinny winowajca Najdienow, Najdienow obrońca i oskarżyciel, poeta i prokurator...

Jesteśmy w domu Waniuszyna..

Dom patryarchalno - mieszczański. Ojciec — despota, pan i władca w obrębie swojego królestwa, matka — cicha, umęczona ofiara, ledwie dostrzegalny, choć jedyny łącznik pomiędzy ojcem a dziećmi. Starzy mieszkają na dole, dzieci pomieszczono w tem samem mieszkaniu o pół piętra wyżej. Te ostatnie unikają starszych, ale spotykają się z nimi przy stole, czasami nawet zamienią słów kilka, lecz najczęściej milczą, bo w domu panuje atmosfera przygnębiająca, a surowe spojrzenie ojca mrozi płomienne wybuchy, które żarzą się w młodych piersiach. I nie dźwięczą w tym domu słowa szczerości, nie dzwoni śmiech młodzieńczy, i niema tam radości, ani zaufania niema. A lata płyną i płyną. Matka, zatopiona w troskach szarego życia, umie tylko martwić się i kochać; a za największe zadanie życia uważa załagodzenie nieporozumień pomiędzy dziećmi a ojcem. A głowa domu?.. Ach, ojciec wiecznie zajęty interesami, ma na głowie liczną rodzinę, musi opłacić wpisy, musi wszystkich przyodziać i nakarmić. To nazywa swoim obowiązkiem i spełnia go, po za tem jest nieprzystępny, surowy i wzamian wymaga od dzieci, aby zachowywały się „przyzwoicie“, aby białe fartuszki panienek były niepokalanie czyste, aby syn gimnazyasta dobre miał stopnie...

Pewnego dnia przyszło do gwałtownego wybuchu. Przeciągnięte struny pękły i... cóż się okazało?

Tam, nad głowami rodziców, do pokojów dziecinnych lał się brud, wyrastały przyniesione z miasta i ze szkół namiętności, budziły się przedwczesne pragnienia i niezdrowe żądze. Ale mundurki panienek były bez plamki, ale synowie... Ach, wszystko pozornie było w porządku!.. Niestety, tylko pozornie, bo w serca dzieci nikt nie zaglądał, nikt nawet nie zwracał uwagi na rozmowy, półszeptem prowadzone po kątach, na podpatrywanie starszych, na nieustanne podłostki i oszustwa, które popełniali młodzi. Matka przez miłość dla dzieci ukrywała przed ojcem wszystkie ich grzechy i występki, a raczej nie wszystkie, bo i ona nie wnikała głębiej. I któż mógł wiedzieć, jakie myśli rodzą się w głowach młodocianych, kto mógł przypuszczać, że te niewinne twarze są tylko dobrze zrobioną maską, pod którą ukrywa się brud, podłość i zepsucie.

A potem, gdy wszystko się wydało, potem było już zapóźno!

Zapóźno!..

Ale młodość ma sama w sobie spory zasób szlachetności, ma całe niebo swoich myśli, przystrojone girlandami marzeń, ma siły, i lotność, i serce wrażliwe. Pierwsza lekcya życia może poruszyć wszystkie szlachetniejsze struny i pchnąć na prosty gościniec. Tak, młodzi mogą być jeszcze ocaleni, ratunku niema tylko dla starych. Dla nich to zapóźno!.. I w tem tkwi cały dramat...

A trzeba było od kołyski śledzić wszystkie odruchy budzącej się duszy, trzeba było być towarzyszem i przyjaciółką, bratem i siostrą, trzeba było umieć wzbudzić w maleńkich sercach miłość i zaufanie, i trzeba było samemu żyć życiem tych młodych. Kto chce młodych zrozumieć, sam młodym być musi. I nikomu nie wolno zestarzeć się bezkarnie... Nikomu!..

To może chciał powiedzieć młody autor Najdienow, to mówią tysiące młodych, a życie płynie i płynie... Przyjdzie czas, siecią zmarszczek pokryje nasze czoła i ubieli nasze włosy, wprowadzi na arenę życia nowe zastępy bojowników młodych i silnych, pewnych siebie i zwycięzkich. Skąd przekonanie, że po pierwszej młodości nastąpi druga, ze za lat kilkadziesiąt nie powtórzy się odwieczna historya? Skąd pewność, że my, młodzi, potrafimy wchłonąć nowe życie, że nam dopiszą siły i umysł lotność młodzieńczą zachowa?

A jeżeli...

Ha, trudno! „Z żywymi naprzód trzeba iść!..“ Dzisiaj żyjemy, my, młodzi...

I to może chciał powiedzieć Najdienow.

Artur Śliwiński.

NOWE KSIĄŻKI.

— Prof. Józef Nusbaum: **Szlakami wiedzy** (Lwów, 1904, cena 2 rb. 50 kop.).

Trzecia to już popularno-naukowa książka, wydana przez zasłużonego badacza na polu biologii i znakomitego popularyzatora wiedzy. Jak i poprzednie dwie, wydane w roku 1900 („Z zagadnień biologii i filozofii przyrody,“ oraz „Z zagadek życia“), dziełko to przedstawia szereg odczytów i rozprawek na temat najżywotniejszych i najciekawszych zagadnień dzisiejszej biologii oraz treściwy, zwięzły, w należytem świetle przedstawiony wykład o rozwoju wiedzy tej w ubiegłem stuleciu. Już same tytuły odczytów tych powinny wzbudzić zainteresowanie w najszerszych kołach. Oto one:

„Mechanika rozwoju jako nowa gałąź biologii.“

„Kilka myśli o życiu i śmierci.“

„Życie w otchłaniach morskich.“

„Istota i znaczenie zapłodnienia.“

„Zasadnicze prawo rozwoju (prawo biologiczne).“

„O odradzaniu się (regeneracya) w świecie zwierzęcym.“

„Nowa teorya powstawania gatunków.“

„Światło i barwy w przyrodzie organicznej.“

„Przyczyny powstawania płci w świetle nowszych badań.“

„Wyraz twarzy i mowa oczu.“

Książka, którą wzbogacił literaturę naszą profesor lwowski, stanowi w naszych stosunkach niedołężnej popularyzacyi wiedzy przyrodniczej rzadkie zjawisko.

Podaje ona istotną wiedzę z pierwszego źródła, nieskażonego żadną tendencyą, w formie żywej, dostępnej i barwnej. *K. K—c.*

— Józef Wiśniowski: **Poezye** II, Lwów, nakł. Tow. wydawn.

Gdybyśmy chcieli pana Mogilnickiego nazwać wróblem, ćwierkającym w chwilach „jasnych,“ to o Wisniowskim musielibyśmy mówić, jak o skowronku. Mały to ptak, szary, ale — z powołaniem i z pewnym nawet polotem, a nadewszystko ptak tej wczesnej wiosny, kiedy to słowiki nie „uderzają jeszcze w pieśń królewską“ (wysłane przez księdza Niedziałkowskiego na dłuższe studya w koguciej akademii). „Brat łąk, brat ról szczery, wierny i — serdeczny,“ wiosennej „potęgi możnej syn najmłodszy“ niepotrzebnie, bo nieskutecznie, zrywa się do „lotów orlich.“ Trzeba znać wymiar własnych skrzydeł, stworzonych do zataczania kół (niekiedy do kręcenia się w kółko) nad polami w „kraju mistycznym,“ a przynajmniej nie trzeba się dziwić, gdy wicher „pragnienie orlich lotów rozbił w gruzy.“ Zwykła to kolej rzeczy przy forsownem a wymuszonem wdzieraniu się „na ów szczyt,“ gdzie dusza-osmętnica śpiewna umyślnie pierś swą „bezlitośnie porze,“ aby mieć prawo do „rwania najświeższych ran na ćwierci,“ przysługujące orłom z urodzenia. A natomiast „przeklęcie czarne“ kruki poczynają „plwać,“ widząc, jak nieudolności „paszcza“ żywe błyski talentu „przepaszcza,“ a w najlepszym razie „władnie i święci swe tryumfy grabież,“ popełniana systematycznie na Staffie (np. „Idzie noc,“ „Podczas burzy“ i inne mrzonki o potędze) i Tetmajerze („Ona,“ „W dzień zaduszny“ itp.). W tym względzie autor posuwa się nieraz za daleko, parafrazując albo przepisując dosłownie znane wiersze tych autorów z zachowaniem rytmu i rymów (str. 114, wiersz 2—6). W innych znów utworach (np. „Ułuda“) znajdujemy dość harmonijne połączenie „stafficzności“ z „tetmajerszczyzną,“ co dobrze świadczy o smaku literackim i o wyrobieniu pióra. Naturalnie, najlepiej o tem świadczą te „czyste, rozlewne pieśni serca“ na cześć dobra i piękna, w których poeta staje się prawdziwie szczerym i serdecznym bratem nietylko pól, co dają piersi oddechy pełniejsze, ale i wsi cichych, gdzie „dusze schną w łzach i męce.“ I te wprawdzie dałyby się poniekąd zastosować

słowa autora o „wdzięku rodzimym, co dziwnie swojską czyni oną — wodę." (Swojskość jeszcze nie ratuje: K. Laskowski jest też bardzo „swojski"), ale znajdziemy tu i owdzie w tym wartkim acz płytkim strumyku natchnień serdecznych miejsca mniej „wodniste," rozkołysane w rytm płynny i złote od słońca, któremu „młodość na imię, a moc na przezwisko." Wówczas dziwimy się, że tych właśnie „miejsc" autor nie poświęcił swej duchowej matce chrzestnej — Konopnickiej, i mamy wielki żal do niego, że pozwolił rusałkom „pierzchnąć" w takiej wodzie, zamiast pierzchać, skoro nie służy im ta kąpiel bajeczna.

Klątwy, rzucane niegdyś na grzeszne głowy królów i władców rozciągały się niekiedy na całe państwa i ludy. Taką właśnie klątwę rzucił w „Głosie" M. A. K. na cały ludek boży poetów współczesnych za grzechy p. Wiśniowskiego przeciwko poezyi świętej. Naszem zdaniem tkwi w tem błąd potrójny: po pierwsze, jest to anachronizm, po drugie, p. Wiśniowski nietylko królem nie jest, ale i nie posiada żadnych praw do tronu i korony, i po trzecie, utwory jego na klątwę — nie zasługują w żadnym razie.

C. B.

Notatki literackie i artystyczne.

Mylna informacya. W nr. 49 *Tygodnika ilustrowanego* z roku zeszłego umieszczono reprodukcyę obrazu Gustawa Caillebotte „Les Rabotteurs de parquet," przyczem jako autora wymieniono Alfreda Sisley. Podobna omyłka łatwo zdarzyć się może, ale pismo, mianujące się artystycznem, nie powinno z niej brać pochopu do mylnych informacyj. Bowiem w rubryce „Nasze ryciny" redakcya objaśnia czytelników, że „omawiany obraz stanowi wyjątek w produkcyi artystycznej Sisleya, osnuwającego swe piękne pomysły przeważnie na tle omglonych melancholią i przepojonych słońcem fragmentów krajobrazowych": co już omyłką wytłomaczyć niepodobna, a raczej nieznajomością przedmiotu trąci. Wogóle nazwisko Caillebotte'a powinno być znane piszącemu o sztuce, gdyż nosi je właśnie nowa sala impresyonistów w muzeum Luksemburga, w której wskazany obraz wisi i której zawartość — bogaty zbiór malowideł charakterystycznych dla szkoły pleinair'u — Caillebotte ofiarował muzeum przed dziesięciu mniej więcej laty. A jego „Heblarzy" włączono do tej samej sali nietylko dzięki mniemanemu „zaliczeniu do rzędu wybitniejszych, współczesnych arcydzieł pędzla," ile dla uczczenia pamięci ofiarodawcy i charakterystyki jego twórczości.

F. B.

LITERATURA. **Ign. Chrzanowski**: „Okruchy literackie" (St. Konarski — Smutek Gabryeli — Kornel Ujejski — Ideały Asnyka — Album pani Kostrowickiej — O pierwszej powieści Sienkiewicza — Na wyspie), wydanie na korzyść kasy nauczycielskiej w Warszawie, nakł. Gebethnera i Wolffa.

— W. Presser: „Stanisław Przybyszewski," studyum literackie, Lwów, Księgarnia Polska.

— M. Karłowicz: „Pamiętniki po Chopinie." Listy rodziny i do rodziny. Listy p. Sand i jej córki. Listy Wodzińskich. Listy uczennic i znajomych. Listy p. Sterling. Rozmaitości.

— A. Strzelecki: „Z życia Chopina," szkic z profilu. Nakł. J. Fiszera.

— W. Gostomski: „Z przeszłości i z teraźniejszości." Studya i szkice krytyczno-literackie, wyd. „Arkonii." Gebet. i Wolff.

— A. Niemojewski: „Stanisław Wyspiański," studyum literackie, Biblioteka Samokształcenia.

— Ign. Matuszewski: „Twórczość i twórcy," studya i szkice estetyczno - literackie, nakł. Gebethnera i Wolffa.

NA MARGINESIE.

Patryotyzm i miłość ludzkości uczyniła *La Revue* paryska przedmiotem swoich wywiadów i rezultat ich w postaci odpowiedzi 22 znanych mężów ze świata literatury i nauki przedstawiła w ostatnim zeszycie z 15 stycznia. Na pytanie: czy patryotyzm nie jest sprzeczny z miłością ludzkości, wielu odpowiedziało zgodnie z myślą wyrażoną przez Pawła i Wiktora Margueritte: „Jeśli nie będziemy kochać ojczyzny, tj. ludzi najbliższych, najpodobniejszych do nas, to jakże możemy kochać tych, którzy są nam dalsi? Trzeba być patryotą, aby rzeczywiście kochać ludzkość całą." Mniejszość jednak nazywa stanowczo patryotyzm przeżytkiem przeszłości, szkodliwem nasieniem nienawiści i oczekuje od przyszłości zniesienia tych wszystkich zapór, które dziś rozdzielają ludzkość, dania jej możności swobodnego łączenia się i wzajemnego przenikania.

Gabryel Tarde np. ustrój ekonomiczny, rząd, administracyę nazywa środkami istnienia dla ludów, które jednak dopiero w dziedzinie umysłowej i moralnej nabywają prawa do życia. Otóż patryotyzm wyrasta także z tego źródła. W przyszłości będzie on miał charakter czysto estetyczny, wyrażający się w szczególnem upodobaniu do tego, co jest dziełem ducha najbliższych nam, lecz stanie się wolny od dzisiejszych uprzedzeń i nieufności, które wytworzyła konieczność samoobrony wobec sąsiadów, chciwych powiększenia materyalnego kosztem drugich. Ludy, narody, mniejsze państwa zleją się w kilka wielkich: wiele z tych, które dziś istnieją, zniknąć musi, jako przeszkoda w ogólnej harmonii świata cywilizowanego. Z wielu języków utrzymają się przy życiu tylko niektóre, a jeden z tych (nie żaden sztuczny volapük) przyjęty zostanie przez wszystkie w stosunkach handlowych, w świecie nauki. Być może wówczas, gdy zmniejszy się ilość ludów, nastąpi ich federacya; w Europie utworzą się dwie grupy: neo-łacińska ze Słowianami i germańska z Anglosasami. Instytucye ekonomiczne, polityczne, administracyjne, sądowe, staną się organami międzynarodowymi; ale narodowość nie ulegnie pomimo to zniszczeniu, będzie żyć zawsze w dziedzinie estetycznej i moralnej, jako wyraz ducha i charakteru swego ludu.

Bardziej krańcowo w tym względzie wypowiedział się Elisee Reclus. Patryotyzm i ojczyznę nazywa on „smutnym przeżytkiem, wytworem egoizmu, wiodącym niechybnie do zniszczenia, upadku i wytępienia ludzi."

„Patryotyzm—mówi on — historycznie był zawsze zgubnym. Człowiek okrył tem pięknem słowem chciwość, łupiestwo, rozbój i od braci w imię jego żądał największych ofiar dla swego egoizmu. Cały świat należy do człowieka. Precz z granicami, symbolami przywłaszczania i nienawiści. Niech nareszcie wszyscy ludzie się uścisną i mogą nazwać się braćmi."

Octave Mirbeau, który jako porucznik brał udział w wojnie 1870 r., wzdryga się na samo wspomnienie obrazów gwałtu, zgrozy, nienawiści, śmierci i zniszczenia, które to słowo *ojczyzna* w nim budzi. Patryota, to dla niego człowiek dziki, który swoją głowę przystroił w jaskrawe pióra, a u pasa zawiesił sobie głowy innych. Mówią mu, że jest bohaterem, a tymczasem to tylko zwyczajny morderca.

Patryotyzm, może bardzo niegdyś pożyteczny, za czasów barbarzyństwa narodów, dziś stał się głównym żywicielem kwestyi rasowości, tak zgubnej z powodu nienawiści, jakie rozsiewa, wojen, które wywołuje. Jest tylko jedna rasa: ludzkość.

„Można kochać ludzkość i służyć jej — mówi natomiast Jules Claretie — ale niema potrzeby poświęcać dla niej idei ojczyzny, która stanowi siłę narodów, a jednostce, poczynającej pracować dla dobra ogółu, każe przedewszystkiem służyć swemu krajowi."

A Fryderyk Passy powiada: w rzemiosłach, w sztuce, w nauce, w handlu, przemyśle widzimy wspólność pracy i wysiłków wszystkich ludzi bez różnicy narodowości i pochodzenia. Cywilizacya jest dziełem całej ludzkości, nauka własnością wszystkich ludów. Ona nie zna patryotyzmu.

La Revue zamierza z tem samem pytaniem zwrócić się teraz do mężów stanu, polityków i obiecuje czytelnikom swoim przedstawić ich wynurzenia.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Lublinie powstało biuro pośrednictwa w dostarczaniu pracy.

— Dnia 2 b. m. wieczorem w zakładach fabrycznych w Kamieńskoje (gub. Ekaterynosławska), pracujący niezadowoleni ze zniżenia taksy zarobkowej, wszczęli rozruchy. Na odgłos sygnału pożarowego robotnicy oddziału wielkich pieców wyszli na podwórze, utworzyli grupy, których uczestnicy byli silnie podnieceni i w ostrej bardzo formie wyrażali swe niezadowolenie z powodu nowych warunków. Uspakajające przemowy dyrektora zakładu Gużewskiego i komisarza policyi, Sytina, nie wywarły wrażenia, rzucano w nich kamieniami: jednym z nich inżynier Gużewski został silnie kontuzyowany, Sytin — otrzymał dwie lekkie rany na czole. W tym czasie zebrał się tłum robotników innych oddziałów przy bramie, spalił ją i połączył się z towarzyszami na podwórzu, a następnie ruszył wzdłuż ulic zakładów i zaczął podpalać różne gmachy, rabując inwentarz. Zgorzały do szczętu: 2 kantory, skład, 2 sklepy spożywcze, jadalnia dla robotników, mieszkanie inżyniera rządowego, mieszkanie inżyniera Wojniewicza, zrabowano mieszkanie dyrektora Gużewskiego, inż. Brailowskiego i inż. Bokszańskiego; tłum tylko asystował przy akcyi, czynny udział zaś w niej brało grono z 50—60 ludzi. Gubernator hr. Keller, z oddziałem wojska i policyi przyjechał na miejsce około godz. 3 w nocy. Przed przybyciem gubernatora tłum rozszedł się i zaburzenie ucichło. Straty poniesione przez fabrykę obliczono na 400,000 rb., w sklepie spożywczym, fabrycznym spaliło się towaru za 180,000 rb. (*Warsz. Dn.*)

— Prezydent m. Baku wydał do podwładnych następujący rozkaz: „Doszły mnie wieści, że niektóre wydziały trzymają sprawy w tajemnicy przed prasą. Uważając jawność za podstawę samorządu, oświadczam niniejszym, że będzie wydalony każdy, kto nie okaże pomocy współpracownikom pism."

— W sprawie o rozruchy ormiańskie w Erywaniu z pośród 18 oskarżonych o opór władzy, 4 skazano na 8 miesięcy więzienia, 14 uwolniono.

— Rusini postanowili wznieść we Lwowie gmach dla ćwiczeń gimnastycznych i w tym celu puścili w obieg 5,000 bezprocentowych obligacyi 10-koronowych.

— W Clevelandzie urządzona będzie wystawa i kongres słowiański celem skoncentrowania sił słowiańskich w Ameryce i wywołania agitatacyi przeciw panoszeniu się Niemców za Oceanem.

— Kardynał Kopp wytoczył w Rzymie proces ks. Mikulskiemu z Krakowa za udzielenie ślubu p. Korfantemu.

— W procesie o zburzenie przez włościan polskich schroniska niemieckiego w Magórce, w Galicyi, trybunał sądowy skazał 7 na tydzień aresztu, czterech uniewinnił. Jako okoliczności łagodzące uznano wyzywające zachowanie się Niemców bialskich.

— Gimnazistom poznańskim zagrożono surowemi karami za słuchanie niedzielnych wykładów popularnonaukowych.

— Według sprawozdania sekretarza skarbu Stanów Zjednoczonych, od lipca r. 1902 do lipca r. z. przybyło do Stanów Zjednoczonych 857,046 emigrantów europejskich, a w tej liczbie 233,546 Włochów, 82,343 Polaków, 75,343 Skandynawów, 71,782 Niemców, 63,817 Anglików i Irlandczyków, 34,487 Słowaków, 32,907 Chorwatów i Słoweńców, 27,124 Węgrów i 235,693 osób rozmaitych narodowości. W liczbie emigrantów znajdowało się 102.431 dzieci i 40,562 osoby, liczące ponad 45 rok życia 613,146 mężczyzn i 243,900 kobiet; przynieśli oni z sobą do Stanów Zjednoczonych gotówką 16,117,513 dolarów.

Szkoły i wychowanie. Oddział szkół przemysłowych wydał spis szkół średnich których wychowańcy

mogą wstępować do wyższych, specyalnych zakładów naukowych. Z praw tych mogą korzystać w Królestwie Polskiem: wychowańcy gimnazyów i szkół realnych z dodatkową klasą, lub tacy, którzy zdali egzamin w tych szkołach; wychowańcy gimnazyów i szkół realnych prywatnych z prawami zakładów rządowych, a także i tych gimnazyów i szkół realnych, w których odbywają się egzaminy dojrzałości; wychowańcy zakładów naukowych technicznych i przemysłowych; wychowańcy takichże zakładów naukowych, średnich prywatnych, z prawami [illegible] i siedmioklasowych szkół handlowych [illegible].

— Ministeryum oświaty wydało przepisy wstępu do średnich zakładów naukowych, pozwalające tym kandydatom, którzy na egzaminach wiosennych otrzymują jeden stopień niedostateczny, przystąpić do ponownego egzaminu, w tym samym zakładzie szkolnym, przed rozpoczęciem roku szkolnego, przyczem jednakże egzaminowani być winni ze wszystkich przedmiotów kursu danego, z wyjątkiem tych, z których na pierwszym egzaminie otrzymali stopień nie mniej jak „cztery." Do egzaminu powtórnego dopuszczani będą także ci z uczniów, którzy nie zdali egzaminu, wymaganego przed rozpoczęciem roku szkolnego, lecz [illegible] jak w styczniu roku następnego i ze wszystkich przedmiotów kursu klas poprzednich, oraz z tego, co uczniowie już przeszli w danej klasie. Kandydaci pierwszej kategoryi w poczet uczniów przyjmowani będą, o ile pozostanie miejsc po przyjęciu tych, którzy zdali egzamin bez poprawki.

— Szkołom technicznym pozwolono przyjmować kandydatów starszych o rok od ustanowionej normy, powyżej zaś tego wieku — za zgodą ministeryum [illegible].

— Według nowego rozkładu lekcyj tygodniowych w szkołach miejskich 6 i 4-klasowych przeznaczono: w 6-klasowych na religię 13 godzin, na język rosyjski 34, kaligrafię 6, arytmetykę 24, geometryę 10, rysunki 5, kreślenie 5, historyę 8, geografię 8, nauki przyrodnicze 13, nadto osobno lekcye języka polskiego i niemieckiego 12 godzin tygodniowo; w 4-klasowych: na religię 13 godzin, na język rosyjski i kaligrafię 23, arytmetykę 20, geometryę, rysunki i kreślenie po 16, historyę i geografię po 8 i przyrodoznawstwo 13.

— Uczniom pierwszych dwóch klas gimnazyów i szkół realnych pozwolono przechodzić z jednego zakładu naukowego do drugiego, do tych samych klas [illegible].

— Wychowańcom szkół handlowych pozwolono wstępować na studya do instytutów weterynaryj-[illegible].

— Na zjeździe wykształcenia zawodowego, w Petersburgu, poruszono sprawę założenia stałego biura dla ujednostajnienia działalności szkół wieczornych i niedzielnych.

— Studenci kursu III i wyższych mogą przechodzić z jednego uniwersytetu do drugiego za zgodą obu rektorów.

Wiadomości naukowe. Skutkiem nadesłania tylko jednej pracy na konkurs im. Adama Chojnackiego, wydział prawny uniwersytetu warszawskiego wyznaczył termin do d. 13 maja r. b., nagroda zaś zamiast 900 rb., wynosić będzie 1,350. Temat pozostaje ten sam: „Kobieta jako człowiek rodziny i społeczeństwa." — Odroczono również o rok jeden konkurs, ogłoszony przez wydział historyczno-filologiczny na temat: „Praca na roli."

— *Kur. Warsz.* donosi: „D. 1 b. m. odbył się zjazd założycieli wszechnicy Mickiewicza w Zurichu. Liczba osób przybyłych była rażąco mała w stosunku do rozgłosu, jakiego początkowo nabrał projekt prof. Lutosławskiego. Obecnych dwudziestu kilku dawnych i nowych założycieli wysłuchało referatu p. Lutosławskiego o jego daremnych zabiegach w celu zebrania na kosztowne przedsięwzięcie funduszów, tak, że o założeniu uniwersytetu w Szwajcaryi, mimo wielkiej ofiarności samego fundatora, mowy być nie może. W końcu postanowiono założyć polską stacyę naukową w Londynie."

— Akademia nauk w Petersburgu urządza w r. b. wielką wyprawę w celach etnograficznych do Polinezyi i Australii.

Ze sztuki. Henryk Vogel, malarz niemiecki, zmarły w Hildburghausen, zapisał milion marek na cele artystyczne.

Literatura i prasa. Na konkursie *Wędrowca*, na utwór dramatyczny jednoaktowy, z pośród 135 prac nie uznano żadnej za zasługującą na pierwszą nagrodę; drugą (60 rb.) przyznano p. B. Gorczyńskiemu za fragment dramatyczny p. t. „Sytuacya z dramatu." Oprócz tego wyróżniono kilka innych utworów.

— Watykan postawił na indeksie następujące dzieła ks. Alfreda Loisy, b. profesora „Institut Catholique": „La religion d'Israel," „L'Evangile et l'Eglise," [illegible]

Zdrowie publiczne. Rada gubernialna warsz. dobr. publicznej od 14 b. m. podwyższyła opłatę za leczenie osób cywilnych we wszystkich szpitalach gub. Warszawskiej z 32 na 50 kop. dziennie.

— Powstał projekt otworzenia w Warszawie dla Królestwa całego stacyi i lecznicy dla pokąsanych przez zwierzęta wściekłe. Koszt urządzenia obliczono na 25,000 rb., z czego 10,000 rb. pokryje magistrat, reszta rozłożona będzie na gubernie.

Sprawy ekonomiczne. Od d. 14 b. m. wprowadzono nowego typu blankiety wekslowe.

— W d. 14 b. m. długość linij kolejowych w państwie rosyjskiem wynosiła 58,124 wiorsty, oprócz kolei Wschodnio-Chińskiej, liczącej 2,346 wiorst.

Zmarli. Leon Gerome, malarz i rzeźbiarz francuski, w Paryżu.

— Dr. Gustaw Neusser, docent uniwersytetu Jagiellońskiego, dyrektor szpitala dla obłąkanych w Kul-[illegible].

— Edward Lassen, muzyk niemiecki, autor tekstu muzycznego do „Fausta" Goethego, w Weimarze.

SPROSTOWANIE. W poprzednim (3) numerze *Prawdy* w artykule „o rasowości", na str. 30, wiersz 30 od góry zamiast „trzech wybitnych profesorów," powinno być „trzech wybitnych fachowców".

W tymże samym numerze we „wspomnieniu pozgonnem" zamiast „typu nauczyciela" powinno być „typu [illegible]"

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Января 1904 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.